

● JEDEN Z KATYNIA ● „KLAWISZ” Z ZAMKU ● SOŁŻENICYN ● KTO STRASZY ATOMEM? ● KIM JEST SZEWARDNADZE? ● PO CO NAM SAMORZĄD? ● KOMU GARAŻE? ● JAK PRZEGRAŁEM WYBORY

PL ISSN 0660-8830

TYGODNIK
WSCHODNI

relacje

LUBLIN, 22-28 VI 1989 R.

NR 23

CENA 70 ZŁ

**NIE MA PROBLEMU
ENERGETYKI JĄDROWEJ,
JEST TYLKO
PROBLEM KULTURY**

WYPROWADŹMY SIĘ DO BUSZU!

Tomasz Goworek

NA Wybrzeżu pozamykano kurorty z Sopotem na czele. W Sudetach schną lasy. Odkrywkowe kopalnie węgla brunatnego zostawiają za sobą ogromne polacie księżycowego krajobrazu. Na Nowy Sącz spada rocznie 1600 kg rakotwórczego α -benzopirenu. Czy ktoś protestuje, urządza manifestacje? Nie. No, może w sprawie Sudetów: „a bo to ci Cześci”, „a bo to ci Enerdowcy”. Cały kraj natomiast protestuje przeciw elektrowniom jądrowym, których i tak jeszcze nie ma, a jak tempo budowy się utrzyma, to za sto lat będzie funkcjonowała z jedna.

Ktoś wymyślił, że ci paskudni komuniści chcą zastawić całą Polskę reaktorami jądrowymi, które będą grozić wybuchem, siłą wokół promieniowanie, wylizywać odpady promieniotwórcze, zatrwać środowisko, co — wraz z ustawą o przerywaniu ciąży — doprowadzi do zagłady biologicznej narodu. Nie trzeba wiele trudu, by zauważyć, że rzecz ma się dokładnie odwrotnie: władze tego kraju przeważnie robiły, co mogły, żeby opóźnić rozwój technik jądrowych.

DO roku 1955 w suwerennym Państwie Robotniczo-Chłopskim badań nad energią jądrową po prostu prowadzić nie było wolno. Po Październiku wszystko się zmieniło, powstał Instytut Badań Jądrowych, uruchomiono pierwszy reaktor, nie energetyczny jeszcze, ale do celów badawczych, wyszkolono znakomych specjalistów, m. in. do projektowania tego rodzaju urządzeń. Fizyka jądrowa była w modzie, na studia zgłaszały się tłumy, po 5 kandydatów na jedno

miejsce, ludziom wydawało się, że oto jest szansa włączenia się, na równi z innymi krajami, do tworzenia nowej dziedziny nauki i techniki.

Pamiętam uroczystość wręczenia dokumentu stwierdzającego przyznanie kredytów na budowę reaktora w Gdańsku do użytku Politechniki, ale także Stoczni Gdańskiej, a to dla studentów nad napędem jądrowym statków. Amerykańskie czasopisma fachowe doniosły, że stocznia przystąpiła do projektowania statku o tego rodzaju napędzie. Pamiętam też wmurowanie kamienia węgielnego pod reaktor eksperymentalny w Krakowie.

A potem w krótkim czasie wszystko ucichło. Zadbano, żeby nikt nie zagroził monokulturze węglowej. Znaleźliśmy się na szarym końcu Europy, tak Zachodniej, jak i Wschodniej. Energetyki jądrowej nie ma u nas; od końca lat 60. likwidowano kolejno programy badawcze, takie jak konstrukcja reaktorów powielających chłodzonych sodem, automatyka reaktorowa; zlikwidowano Zakład Fizyki Reaktorowej, jeszcze w 1983 r. odcięto od centrum komputerowego Zespół Obliczeń Reaktorowych; a nawet zajmujący się „czystą sztuką” zespół fizyki rozszczepienia jądrowego przestał istnieć wskutek zwolnienia wielu pracowników, specjaliści rozjechali się po świecie.

Gdy już nauka i technika jądrowa znalazły się na marginesie, na scenę wkroczyli ekolodzy. „Energetyka jądrowa nie jest absolutnie bezpieczna. Jakby starannie zaprojektować elek-



Domek gotycki — pamiątka polska, puławska (str. 11).

Fot. Waldemar Stępień

tronię, to i tak może spaść na nią samolot, może być wojna”. Zastanawiam się, jaki to musiałby być samolot, aby rozwalil nie tylko budynek, ale i rdzeń reaktora, ale zgadzam się, prawda, energetyka jądrowa nie jest absolutnie bezpieczna.

Żadna energetyka nie jest stuprocentowo bezpieczna, w ogóle żaden twór cywilizacji nie jest absolutnie bezpieczny, nawet penicylina. Ten samolot, ta bomba może spaść równie dobrze na zapórę wodną, a jakoś przeciwko elektrowniom wodnym żadnych demonstracji się nie urządza. Wojny nie było, nie zanotowano zderzenia z samolotem, z meteorytem, a parę zapór wodnych uległo katastrofom, zginęły tysiące ludzi. W tym samym czasie zdarzył się jeden unikalny Czarnobyl, zginęło 30 osób, głównie strażaków. Ciekawe, że reaktory nieenergetyczne nie budzą żadnych emocji, np. oba reaktory w Świerku, tuż pod Warszawą...

Proszono mnie kiedyś o wypowiedź na temat: „problemy etyczne energetyki jądrowej”. Proszę wybaczyć, ale jeśli ktoś zaczyna dyskusję od słów: Moralność, Ojczyzna, Bóg, Naród, Lud, Prawda etc., staję się ostrożny: oto cwaniak chce mi wielkim słowem zat-

kać gębę, t.z.w. porządny człowiek na żadne z takich słów nie odważy się powiedzieć „nie”.

Etyka energetyki jądrowej... A jakie są problemy etyczne wydobycia węgla, gdzie wysyła się do nor kilometr pod ziemią setki tysięcy ludzi, skąd co roku nie wraca setka, zostaje kalekami tyśiąc, zapada na choroby zawodowe jeszcze więcej? Jakież są problemy etyczne budowy elektrowni wodnych, a może problem jakichkolwiek elektrowni — od porażenia prądem zginęły przecież grube tysiące ludzi? No to jedźmy dalej: a problemy etyczne budowania samolotów pasażerskich, które od czasu do czasu spadają? Czy ktoś podnosi problem etyczny jazdy samochodem mimo tak tragicznych statystyk? Trzeba się starać, żeby tworzy cywilizacji były jak najbardziej niezawodne, ale gdybyśmy przyjęli założenie, że konieczna jest 100,000% niezawodność, nie wyszlibyśmy dotąd z jaskini. Smutne, ale prawdziwe.

Czegóż to się ludziom nie wmawia. „Energetyka jądrowa jest droga”. Ktoś chce nas przekonać, że świat kapitalistyczny jest pełen frajerów, którzy wyrzucają pieniądze na drogę inwestycje, podczas gdy mogliby budować tanio i zdrowo. Szczególnie frajerska

Dokończenie na str. 8—9

relacje ZE ŚWIATA

● **TRZYSTA TYSIĘCY** osób uczestniczyło w uroczystościach pogrzebowych Imre Nagya, premiera Węgier w 1956 r., oskarżonego w czasie sfałszowanego procesu, straconego i potajemnie pogrzebanego przed 31 laty.

Podczas tych uroczystości pochowano sześć trumien — pięć z prochami przywódców Węgier z października i listopada 1956 oraz szóstą, pustą, jako symboliczny sarkofag kilkadziesiąt innych, rozstrzelanych „kontrewolucjonistów”.

W ceremonii uczestniczył m.in. przybyły ze Stanów Zjednoczonych Bela Kinsly, wojskowy dowódca powstania z 1956 r.

● **WIZYTA** M. Gorbaczowa w Republice Federalnej Niemiec zyskała — wśród polityków, jak i obserwatorów sceny politycznej — miano: *h i s t o r y c z n e j*. Komentujący jej przebieg oraz rangę przyjętych dokumentów i deklaracji stwierdzają, iż zamknięty został powojenny etap powojennej historii w stosunkach ZSRR — RFN, a także: Wschód — Zachód.

Dodajmy, że Bundestag, aprobując wyniki wizyty Gorbaczowa, opowie-

dział się za przyspieszeniem rozwoju kontaktów z Polską.

● **CHIŃSKA TELEWIZJA** podała, że sąd w Szanghaju skazał trzech młodych ludzi na kary śmierci za podpalenie pociągu relacji Pekin — Szanghaj, które miało miejsce w czasie akcji protestacyjnej przeciwko stłumieniu przez wojsko wystąpienia antyzygodowych w Pekinie.

W samym Pekinie, pozostającym we władaniu armii, panuje atmosfera strachu, wywołana m.in. falą aresztowań i procesów sądowych. Oficjalnie mówi się o walce z kontrewolucją, nieoficjalnie — o rozgrywkach we władzach.

● **W UZBEKISTANIE**, w wyniku starć nantodowościowych, zginęło 87 osób. Zajęcia te — jak dowodzą zebrane materiały — w dużym stopniu inspirowane były przez jednostki podległe MSW. Premier ZSRR, Ryżkow, zapowiada surowe ukaranie sprawców zająć.

● **DOPIERO OSTATNIO** prasa jugosłowiańska podała, że w 1951 r.,

po zerwaniu przez kraje socjalistyczne kontaktów z „krwawą kłiką Tito”, Rumunia przesiedliła swych obywateli pochodzenia serbskiego do „gulagów” w pustynnej okolicy Baraganu (płn.-wsch. część kraju). W obozach tych znalazło śmierć od 15 do 65 tys. Serbów.

● **O ZNA CZNYM WZROŚCIE PRZE-STRĘPCZOŚCI** w Związku Radzieckim informuje prasa tego kraju. W ciągu pierwszych czterech miesięcy tego roku, w porównaniu z analogicznym okresem ub. r., o 150 proc. wzrosła liczba napadów z bronią w ręku oraz kradzieży.

● **W BIAŁYM DOMU** ogłoszono szczegóły lipcowej podróży prezydenta USA G. Busha do Europy. Rozpocinie ją od Polski, gdzie przybędzie 9 lipca. G. Bush, w czasie dwudniowego pobytu, odwiedzi Warszawę i Gdańsk. Kolejnymi zaś państwami będą: Węgry, Francja i Holandia.

● **MINISTERSTWO ROLNICTWA** USA podało, że Związek Radziecki zakupił w bieżącym roku handlowym (kończy się on 31 sierpnia) w Stanach Zjednoczonych 20,5 miliona ton zboża, kuliurydy, soi.

● **„KOM SOM OLSKAJA PRAWDA”** ujawniała, po 27 latach, że w Nowo-

czerkasku doszło w 1962 r. do strajku z powodu braków w zaopatrzeniu w żywność i że żołnierze otworzyli ogień do strajkujących. Zabiło 22 lub 24 osoby, a 40 zostało rannych. Zabici zostali potajemnie pochowani, a że śladów krwi na bruku nie dało się zmyć, pokryto to miejsce warstwą asfaltu. Gazeta podaje też, że 14 najbardziej aktywnych organizatorów protestu stanęło przed sądem Siedmiu skazano na śmierć, pozostali poszli do więzienia.

● **„GORĄCA LINIA”** między Moskwą a Waszyngtonem, założona w wyniku porozumienia podpisanego przez N. Chruszczowa i J. Kennedy'ego, niedawno „obchodziła” 25-lecie. Z tej okazji tygodnik „Ogoniok” opublikował fotoreportaż pokazujący „końcówki” tej linii na Kremlu i w Białym Domu.

Wbrew powszechnym przypuszczeniom na końcu linii nie znajdował się aparat telefoniczny, tylko teleks, służący do nadawania i przyjmowania zaszyfrowanych depesz. Początkowo sygnał przesyłany był kablem ułożonym na dnie Atlantyku, później drogą radiową, a obecnie via Kosmos. Istnieje możliwość przesyłania informacji graficznej — map, schematów, rysunków. Co godzinę między Moskwą a Waszyngtonem przekazywane są komunikaty kontrolne.

relacje Z KRAJU

● **W MINIONĄ NIEDZIELĘ** (19 bm.) odbyła się druga tura wyborów do Sejmu i Senatu. W tym dniu wybierana była w i e k z o ś ć posłów, bo aż 295 (kandydowało 587 osób) i 8 senatorów (kandydatów było 16).

W wyborach wzięło udział 25,2 proc. uprawnionych do głosowania. W momencie zamykania niniejszego numeru „Relacji” bliźsze wyniki nie były jeszcze znane.

● **PODCZAS** bogatej w wydarzenia wizyty prezydenta Francji F. Mitterranda w Polsce (14—16 czerwca) doszło do podpisania porozumień m.in. w sferze gospodarczej, politycznej i kulturalnej. I tak:

Strona francuska zawiesiła do 1993 r. spłatę 7,5 miliarda franków (ok. 1,5 mld dolarów), nie będzie też pobierać odsetek. Kwota ta stanowi około jednej trzeciej całości zadłużenia Polski wobec Francji.

Francuzi zaakceptowali następujący plan pomocy — 150 mln franków natychmiastowego kredytu krótkoterminowego oraz 500 mln franków kredytu średnioterminowego, przeznaczonego na sfinansowanie konkretnych przedsięwzięć w przemyśle spożywczym, turystycznym i w hotelarstwie.

Podpisano umowę o wymianie młodzieży (co roku wyjeżdżać będzie do Francji 10 tys. młodych Polaków) i współpracy medycznej.

● **TYLKO** co drugi absolwent „podstawówki” mimo pozytywnego

adania egzaminu wstępnego, stał się — zgodnie z wyborem — uczniem liceum ogólnokształcącego. Liczba miejsc w liceach, kształcących przyszłą inteligencję, sytuuje nas, w przeliczeniu na tysiąc mieszkańców, na trzecim od końca miejscu w Europie.

● **SAMODZIELNY BATALION SAMOCHODOWY** Armii Radzieckiej, od 28 lat stacjonujący w Świdnicy, opuścił Polskę. Kolejną wycofaną jednostką (również wchodzącą w skład Północnej Grupy Wojsk A. R.) będzie Szesnasty Pułk Człogów.

● **ZAREJESTROWANE** ostatnio Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich zapowiada zjazd na koniec czerwca.

● **WE WROCŁAWSKIEJ ROTUNDZIE** przed czterema laty uroczystośćno zwiedzającym (ponownie, po latach) dzieło W. Kossaka i J. Styki „Panoramę Racławicką”. W tym czasie obejrzały ją ok. 2 miliony osób, w tym kilkadziesiąt tysięcy turystów z całego świata. Zamówienia na bilety sięgają już 1992 r.

● **WEDŁUG** GUS, w kwietniu br. średnia płaca w pięciu podstawowych działach gospodarki wynosiła 101,7 tys. zł (w przemyśle 114,5 tys. zł), natomiast średnia emerytura — 41,6 tys. zł (u rolników 32,5 tys. zł).

● **W CIĄGU** pierwszego kwartału tego roku Polacy wypili o ponad 3 mln litrów tzw. 100-stopniowego alkoholu. Więcej niż w analogicznym okresie 1988 r. Dane te podajemy na odpowiedzialność GUS, bowiem puście z reguły sklepowe półki dowodziłyby raczej, że staliśmy się krajem abstynentów.

● **SREDNIA** cena książki podniosła się w ostatnim roku z 425 do 810 zł. W najbliższym roku książek będzie mniej i będą jeszcze droższe — stwierdzono na posiedzeniu Narodowej Rady Kultury.

● **NA ZAKUP** fontańnianu (cena 4 mln zł) trzeba czekać w Polsce do 25 lat. Powód: 60 proc. produkcji przeznaczają się na eksport. Za jeden egzemplarz uzyskujemy przeciętnie 800 dolarów, natomiast średniej klasy zachodnie instrumenty kosztują kilka tysięcy „zielonych”.

● **W NADCHODZĄCYM SEZONIE** turystycznym WARS dysponował będzie zaledwie 235 wagonami sypialnymi, 240 kuzetkami oraz 10 wagonami restauracyjnymi. Najmłodsze wagony mają już kilkunastoletnią praktykę.

● **DEMOGRAFOWIE** przewidują, że w latach 1992—94 wystąpi spadek urodzeń w Polsce.

● **TELEWIZYJNY TEATR** ROZMAITOŚCI zaprezentował (16 bm.) sztukę A. Wampolowa „Historia z metrami” w reżyserii Andrzeja Rozhina, szefującego lubelskiemu teatrowi dramatycznemu. Spektakl ten powstał w 1984 r. (9).

● **PO SERII** niepowodzeń naszej piłkarskiej reprezentacji (ostatnio w

eliminacjach mistrzostw świata, a wcześniej Europy) Wojciech Łazarek odszedł z funkcji trenera. Jego następcą zostanie prawdopodobnie Leszek Jezierski. Nowemu selekcjonerowi już teraz złożyć można wyrazy... szczerego współczucia. Polska piłka nożna (inni mówią: cały polski sport) jest chora, a ogromne pieniądze zamiast motywować — demoralizują.

● **PRZEZ CZTERY DNI** (22—25 czerwca) trwać będzie w Opolu XXVI Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej. W programie 14 imprez, a wśród nich: koncert „Cicha woda”, poświęcony przebojom lat 50. i 60. „Piosenki Jeremiego Przybory” i jubileuszowy recital Czesława Niemena.

ZAKOŃCZYLIŚMY ZBIÓRKĘ KSIĄZEK DLA LWOWA

Ponad 5 tysięcy książek (proza, poezja, słowniki, podręczniki i in.) — to efekt akcji „Książki dla Lwowa”, ogłoszonej przez „Tygodnik Zamojski”, której wsparcia udzielił także Czytelnicy „Relacji”. Ostatnimi ofiarodawcami, którzy dostarczyli paczkę książek do naszej redakcji, są: Szczepan Orli im. Szarych Szeregów z Zespołu Szkół Zawodowych Kombinatu Cementowego w Chełmie (55 tytułów) oraz mieszkanki Lublina — Magdalena Kozak (5) i Grażyna Stangiewicz (7).

Zbrane książki, opatrzone pamiątkowym ekslibrisem, już wkrótce dotrą do adresatów — dzieci i młodzieży z dwu polskich szkół we Lwowie.

W imieniu obdarowanych pięknie dziękujemy za ten dar serdecznie!

OŚWIADCZENIE

„Okragły stół”, legalizacja „Solidarności”, wyборы do Sejmu i Senatu — to znaczące kroki na drodze ku demokracji. Trudno jednak budować nowe jutro, nie uporządkowawszy wszystkich spraw przeszłości. Pierwszoplanowym zadaniem jest całkowita destalinizacja naszego życia politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego.

Widomym znakiem systemu bezprawia, brutalnego terroru i totalnej pogardy wobec człowieka i jego praw jest w naszym mieście pomnik Bolesława Bieruta. Wyrażający zadowolenie, że Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Lublinie podjęło (nareszcie!) decyzję o jego usunięciu. Musimy jednak zaprotestować, kiedy w sprawie dotyczącej dalszego zagospodarowania placu po pomniku lekceważą się inicjatywy społeczeństwa, które postuluje, aby w tym miejscu postawić pomnik ofiar stalinizmu i bierutowszczyzny, i plac ten nazwać tym samym imieniem. Plac znajduje się pomiędzy

Zamkiem i kirkutem, dwoma miejscami uświęconymi krwią zamordowanych patriotów i bohaterów, których jedyną „winą” była przynależność do Armii Krajowej.

Lublin był pierwszym miastem w Polsce, w którym NKWD i UB rozpoczęło na dużą skalę terror, krwawe represje i skrytobójcze mordy. Dlatego uważamy, że właśnie w Lublinie pomnik ofiar bezprawia będzie symbolicznym zadośćuczynieniem i aktem sprawiedliwości dziejowej.

Pomnik powinien powstać ze składek i z ofiar społecznych. Władze państwowe, pomnikotwórcze instytucje i organizacje winny zachować dyskrekcję i ciszę. Stalinizm to także określony sposób myślenia i działania, tkwiący w mentalności ludzi do dzisiejszego dnia, to system, w którym władza myślała i decydowała za wszystkich. Powołamy społeczeństwo naszego miasta myśleć swobodnie, decydować samodzielnie, przejawiać inicjatywę i przedsiębiorczość w sprawach, które dotyczą wszystkich mieszkańców. Stwarzając inny klimat i atmosferę wokół spraw trudnych i bolesnych,

sprawimy, iż łatwiejsza będzie przebudowa naszego społeczeństwa.

Zwracamy się do mieszkańców Lublina, a przede wszystkim do rodzin ofiar represji oraz tych wszystkich, którzy na łamach prasy, w prywatnych i publicznych dyskusjach, w listach do władz i organizacji wysuwali i popierali tę inicjatywę, aby zgłaszali się do nas celem powołania Społecznego Komitetu Budowy Pomnika Ofiar Stalinizmu i Bierutowszczyzny.

Komitet Obywatelski „Solidarność”
Województwa Lubelskiego

Lublin, 16 czerwca 1989 r.

Przypominamy, że krytyce stalinizmu (bierutowszczyzny) w Polsce oraz potrzebie odmontowania pomnika Bieruta w Lublinie „Relacje” udostępniają swoje łamy, poczynając od pierwszych numerów. Do sprawy wrócimy w najbliższym czasie.

(Red.)

Z NANA prawdą jest, że ciekawe czasy ujawniają ciekawych ludzi, choć już dyskusyjną okazuje się sprawa, czy to przypadkiem nie ciekawi ludzi tworzą ciekawe czasy. Niezależnie od dialektyki historycznej związek powyższy istnieje, a dowodów na to nie trzeba szukać w zamierzchłej przeszłości.

Pamiętam, że gdy swego czasu re- lacjonowałem wizytę Gorbaczowa w Polsce, w szczególny sposób zwrócił moją uwagę sposób bycia Eduarda Szewardnadze. Rozbawiony w takt piosenki! Rosiewioza, wawelski

EDUARD SZEWARDNADZE - CHARYZMA I LWI PAZUR

Wiesław Horabik

dziedzic nie pozostawiał zbyt wielkiego marginesu na indywidualne zachowania, a jednak reakcje ministra, które nazwałbym „pogodną rezerwą”, były właśnie przykładem owej indywidualności.

Nikomu uprzednio nie znany, były I sekretarz KC KP Gruzji, przyjmując stanowisko szefa radzieckiej dyplomacji, nawet formalnie stanął w obliczu niezwyklego zadania — zamykał pewną epokę. Trudno bowiem nie nazwać epoką dwudziestoosmioletniego okupowania tego stanowiska przez Anidrija Gromykę. Stanowi także Szewardnadze przykład na niezwykłą umiejętność dobierania ludzi przez Gorbaczowa.

JEST synem nauczyciela historii z Mamat, wioski w południowo-zachodniej Gruzji. Rejon ten nazywany jest — acz z pewną dozą lokalnej megalomanii — kolebką dyplomatów i mistrzów ciętej riposty. Gdyby zabrakło innych spektakularnych przykładów, sam Szewardnadze wystarczy do uprawomocnienia takiego sądu.

Błyskawiczna kariera w Komsomole, a potem w republikańskich władzach partyjnych, doprowadziła go w efekcie do funkcji ministra spraw wewnętrznych Gruzji. Naczelnym policjantem republiki pozostawał od 1965 do 1975 roku. Czasów poświęcił na rozpracowanie i unieszkodliwienie miąsowej koterii, co zaowocowało otwartym konfliktem z Wasilim Mzawanadze, ówczesnym I sekretarzem partii. Kiedy ten ostatni przygotowywał decyzję usunięcia ministra z zajmowanego stanowiska, Szewardnadze — uzbrojony w dowody korupcji — wyjechał do Moskwy, by po dwudziestu czterech godzinach powrócić z nominacją na szefa partii w Gruzji.

Z owego okresu pochodzi często powtarzana historia, jak to na pierwszym posiedzeniu KC kazal Szewardnadze glosować członkom komitetu przez uniesienie w górę lewej ręki. Obszedł następnie salę konferencyjną, konfiskując na skarb państwa wszystkie luksusowe, zachodnie zegarki (sam posługiwał się wówczas zegarkiem produkcyjnym radzieckiej „Sława”). Kwesta okazała się nadszpedzaniem obfita.

Jako szef partii z równą jak przedtem konsekwencją tępił korupcję, opowiadając się jednocześnie za tworzeniem rodzinnych gospodarstw rolnych,

samodzielnością przedsiębiorstw i uzależnieniem płac od wyników pracy. Były to czasy, gdy pojęcie „pieriestrojka” jeszcze się nie narodziło. Bez względu na forsowanie swych przekonań okupywał ryzykiem, które dziś pozwala potwierdzić co najmniej dwa zamachy na jego życie w tamtym okresie.

Szewardnadze jest człowiekiem Gorbaczowa. Widać to nie tylko na przykładzie funkcji, jaką pełni (jest de facto drugą osobą w państwie), ale raczej na podstawie podobieństw charakteryzujących obu tych ludzi. Duży urok o-

sobisty, „uśmiech, który potrafi topić lód” — jak pisze światowa prasa — lecz także zdolność do twardego akcentowania opinii i bezkompromisowość w negocjacjach — oto co Gorbaczow i Szewardnadze posiadają wspólnego. Swoistym paradoksem jest fakt, iż obaj nie znali się zbyt dobrze w przeszłości. Ich kontakty ograniczyły się do krótkiego okresu współdziałania w Komsomole; Gorbaczow obserwował też, rzecz jasna, działania Szewardnadze na stanowisku szefa gruzińskiego KC partii.

DZIEŃ Eduarda Szewardnadze rozpoczyna się z chwilą zajęcia przez niego miejsca w służbowym Zimie, który przewozi go z podmoskiewskiej dachy na plac Smoleński. W czasie jazdy telefonuje on do ministerstwa, by uzyskać streszczenie aktualnych wydarzeń międzynarodowych. Z chwilą, gdy wchodzi do swego gabinetu na siódmym piętrze budynku, może natychmiast przystąpić do bieżącej pracy. W ciągu dwóch lat kierowania radziecką dyplomacją wymienił dziewięciu spośród dwunastu wiceministrów, trzy czwarte ambasadorów i dwie trzecie konsulów generalnych.

Z Michaiłem Gorbaczowem kontaktuje się przynajmniej dwa razy dziennie. W każdy poniedziałek o 11 rano zbiera swoich najbliższych współpracowników, by omówić sprawy nadchodzącego tygodnia. Wyznacza wówczas spośród nich przynajmniej jednego „advocato diaboli”, który ma za zadanie kontrolować merytorycznie prezentowane aktualnie kwestie. „Aby podejmować właściwe decyzje, potrzebny jest pluralizm” — mówi. Trzy razy w miesiącu, najczęściej w piątek po południu lub w sobotę, zbiera dwudziestodwuosobowe kolegium ministerstwa oraz zaproszonych gości, by przedyskutować całokształt spraw — od nominacji ambasadorskich do terroryzmu.

Jako prawdziwy Gruzin, siłę do pracy czerpie ze wsparcia rodziny. (Szewardnadze tworzą hermetycznie zamknięty klan). „Moim najbliższym myślą tak samo, jak ja — mówi. — Są prawdziwą ostoją mojego życia”. Żona ministra, Nanuli, przed przyjazdem do Moskwy w 1985 roku pracowała jako dziennikarka w jednym z gruzińskich pism kobiecych. (Sam Szewardnadze także pisywał pod pseudonimem do lokalnej prasy). Córka Manana (lat 36) pracuje w gruzińskiej telewizji, a syn

Paata, (lat 31) studiuje filozofię. Szewardnadze ma czterech wnuków.

WIĘKSZOŚĆ obserwatorów politycznych przyznaje, że w ciągu kilku zaledwie miesięcy zdołał Szewardnadze dobrze opanować tajniki międzynarodowych stosunków i że okres jego niepewności na światowej scenie politycznej trwał zaskakująco krótko. „Startował jako nikomu nie znany, prowincjonalny polityk — powiódł o nim brytyjski ambasador w Moskwie. — Dziś budzi szacunek solidną wiedzą i swobodą poruszania się w temacie polityki międzynarodowej”.

Zachodni negocjatorzy podkreślają, że Szewardnadze, w przeciwieństwie do Gromyki, potrafi być elastyczny w rokowaniach i nie kieruje się w nich sztywną linią ideologiczną. Poruszając na przykład problemy praw człowieka w ZSRR, nie utrzymuje, że takowe nie istnieją (jak czynił to Gromyko), lecz informuje, co Kreml robi bądź zamierza zrobić, by je rozwiązywać. Architektem polityki nowego myślenia w stosunkach zewnętrznych ZSRR jest bez wątpienia Gorbaczow; Szewardnadze można by jednak nazwać głównym majstrzem przy wznoszeniu tego gmachu. Oferuje on także wiele własnych koncepcji, nie ograniczając swej roli jedynie do funkcji wykonawcy. To właśnie jego osobiste zaangażowanie pomogło w przyspieszeniu operacji wycofywania wojsk radzieckich z Afganistanu, w sprawnej realizacji układu INF (kiedy na wieść, że poligony mają wizytować zachodni obserwatorzy, wojskowi żalili się, że w pobliżu nie ma odpowiednich hoteli. Szewardnadze rzucił krótko: „To je zbudujcie”).

Minister spraw zagranicznych ZSRR wspiera Gorbaczowa nie tylko w sferze polityki międzynarodowej, lecz również w działaniach wewnętrznych. Do dziś podkreśla z dumą swe gruzińskie pochodzenie, a po rosyjsku mówi z wyraźnym rodzimym akcentem (W przeciwieństwie do Gromyki nie zna angielskiego). Kiedy w Gruzji wybuchły rozruchy i doszło do starć wojska z demonstrantami, Szewardnadze odwołał swe wizyty w NRD i RFN o poleciał do Tbilisi. Udało mu się doprowadzić do znacznego złagodzenia nastrojów, choć pogłoski o użyciu przez armię gazów chemicznych nadal bada specjalna grupa ekspertów. Swą gruzińską misję Szewardnadze określił jako „najtrudniejszą w moim życiu”.

Szewardnadze posiada ogromne poczucie humoru, choć nie należy do osób kordialnych. Do członków swego sztabu zwraca się zawsze po nazwisku. Podobnie jak Gorbaczow nie lubi oficjalnego protokołu, często go łamie i szuka okazji do bezpośrednich, nieformalnych rozmów. Wchodząc do sali posiedzeń, zwykle wita się z każdym obecnym. „Czuje się — powiedział o nim jeden z zachodniemieckich dyplomatów — że nie jest to człowiek ustawnie kontemplujący swą wielkość. Robi wrażenie naprawdę sympatyczne-

go faceta. Łatwo robić z nim interesy”. (Podobne zdanie wyraziła Margaret Thatcher o Gorbaczowie).

Szewardnadze potrafi jednak być twardy. To on podjął się misji wyjaśnienia prezydentowi Nadzibullachowi konieczności wycofania wojsk ZSRR, to on poinformował Olivera Tambo, przewodniczącego Afrykańskiego Kongresu Narodowego, że Moskwa zawiesza poparcie dla ANC w południowej Afryce.

Szewardnadze jest wymagającym szefem. Przed ważnymi rozmowami bądź w obliczu istotnych wydarzeń potrafi utrzymać swój sztab w pełnej gotowości do późnych godzin nocnych. (W przeddzień spotkania z ówczesnym sekretarzem stanu USA George Shulzem podczas obrad Zgromadzenia Ogólnego ONZ wezwał współpracowników o północy, by jeszcze raz przeanalizować szczegóły). Jest jednak także człowiekiem dużo wymagającym od siebie. „Wszystko ma swoją cenę — skomentował kiedyś tę sytuację wiceminister Pietrowski — ale teraz jest się przynajmniej uczestnikiem czegoś dynamicznego i ekscytującego”.

Szewardnadze charakteryzuje się także dużą dozą osobistej odwagi. Kiedy w 1978 roku studenci wyszli w Tbilisi na ulice, by zaprotestować przeciw nowej konstytucji znoszącej gruziński jako oficjalny język republiki, Szewardnadze nie zważał się wyjść do nich, obiecał rozpatrzyć ponownie ich racje i wyprowadził ich z placu, trzymając w dłoni ręczny mikrofon. Innym razem, podczas zamieszek w trakcie meczu piłkarskiego Dynamo Tbilisi — Spartak Moskwa, wybiegł na boisko, by powstrzymać tłum kibiców, wrogo nastawionych do Rosjan.

Szewardnadze, zapytany, jak radzi sobie z nawałem obowiązków, odparł, że kiedyś pomagał mu sport, zwłaszcza pływanie, dziś zaś posiada jeszcze pewien specjalny sekret. „Ujawnię go wam — powiedział dziennikarzom — kiedy już zlikwidujemy całą broń nuklearną i chemiczną, poważnie zredukujemy broń konwencjonalną tak, by mieścić się w granicach rozsądnych środków obrony, kiedy przeprowadzimy do końca dzieło »pieriestrojki«. Wtedy przyjdzie także czas na sport i wówczas zamierzam zająć się nim na poważnie”.

Zapytany zaś o swój największy dotychczasowy sukces na stanowisku ministra spraw zagranicznych, odpowiedział: „Nie jestem przygotowany do dywagacji na ten temat. Nie prowadzę statystyki i nie dokonuję porównań. Zadowolony jestem z każdego pozytywnego osiągnięcia, bez względu na to, czy jest ono duże, czy małe. Ale najbardziej biorę sobie do serca porażki i niewykorzystane szanse, których, niestety, wciąż jeszcze jest zbyt wiele”.

POWOLANIE Eduarda Szewardnadze na stanowisko sternika radzieckiej polityki zagranicznej było dla Gorbaczowa niewątpliwym ryzykiem (w trakcie swego debiutu na międzynarodowej scenie politycznej, a było to cztery miesiące po uzyskaniu nominacji, sprawiał wrażenie człowieka słabo zorientowanego, zbyt często uciekającego się do opinii doradców), dziś już widać wyraźnie, że ryzyko to opłaciło się sowicie. Tekst oparto na przekazach prasy zachodniej („Newsweek” i „Time”) oraz na relacjach „Ogonioka”.

relacje

Z REGIONU

O RZEPAKOWE ŻNIWA, jeśli nie zawładnie pogoda, rozpoczyna się w naszym regionie, już ok. 25 czerwca, zaś „duże żniwa” — ok. 10 lipca. I rzepaku, i zboża ma być więcej niż przed rokiem.

O NIE OPODAL Tyszowiec (woj. zamajski) znajduje się kurhan kryjący prochy żołnierzy — uczestników powstania styczniowego. Dzięki staraniom miejscowego społeczeństwa ostatnio wznieśli tu krzyż oraz umieszczono kamień z pamiątkowym napisem. Z tej okazji odbyła się patriotyczna uroczystość, w trakcie której ks. dziekan Michał Kot odprawił mszę polową. Patronat nad kurhanem i pomnikiem przyjął młodzież.

O W DNIU egzaminu pisemnego z matematyki do szkół średnich (14 km.) od jednej z naszych lubelskich czytelniczek otrzymałmy informację o

„przecieku” egzaminacyjnych zadań.

Sygnaly podobnej treści odebrał kurator Zbigniew Kaznowski, i to na tyle wcześniej, że zdążył zarządzić wymianę zalakowanych kopert, znajdujących się w szafach pancernych dyrektorów szkół.

Sprawa trafiła do Prokuratury Rejonowej w Lublinie.

O FEDERACJA ZIELONYCH podczas happeningu na pl. Litewskim, demonstrując próbki, dowiodła, jak brudna woda płynie w rzekach Lubelszczyzny. Zbierano także podpisy pod listem do prezydenta Lublina, zawierającym żądanie zaprzestania zanieczyszczenia wód podziemnych przez CPN przy ul. Zemborzyckiej.

O „VADEMECUM” — taką nazwę przyjął Klub Dyskusyjny Myśli Społeczno-Politycznej, powstały ostatnio w KUL. Klub ma kształtować kul-

ture polityczną w oparciu o etykę katolicką oraz upowszechniać i rozwijać myśl wywodzącą się z tradycji polskiego obozu narodowego.

O SCENA PLASTYCZNA KUL przebywa w Giessen (RFN), gdzie w ramach Międzynarodowego Festiwalu Teatralnego „Diskurs” zaprezentuje spektakl „Wilgoć” w reżyserii Leszka Mądziaka.

Ekspozycja prac Edwarda Dwurnika zakończyła bieżący sezon wystawienniczy Galeria Sztuki Plastycznej KUL. Przerwa wakacyjna potrwa do października.

O W LUBLINIE odbyła się pierwsza w powojennej historii miasta publiczna licytacja działek budowlanych. Do udziału w niej przystąpiło 183 osoby, w połowie spoza Lublina. Dwadzieścia działek, które Urząd Miejski wystawił do licytacji, sprzedano błyskawicznie. Ceny od kilkunastu do blisko 50 mln zł. Inna sprawa, że jednorazowa wpłata wynosiła czwartą część sumy, a pozostała kwota spłacana ma być przez 98 lat.

Trwają ponoć przygotowania do następnej licytacji.

O LUBLINIANIE jako pierwsi w kraju świętowali (9—11 czerwca) Dni Morza '89, połączone z obchodami 70-lecia Ligi Morskiej. W programie m. in.: uczczenie pamięci polskich marynarzy walczących na morzach i oceanach całego świata podczas II wojny, imprezy wodniackie, kulturalne i rekreacyjne. Udział w nich wzięli m. in. przedstawiciele załogi ms. „Lublin II” oraz jeden z największych polskich żeglarzy, kapitan Krzysztof Baranowski.

O POWOLANE zostało w Lublinie Stowarzyszenie Żołnierzy Armii Krajowej. Prezesem Tymczasowego Zarządu Okręgu został prof. Jerzy Kłoczowski. Zainteresowanych działalnością stowarzyszenia informujemy, że jego obecna siedziba mieści się w budynku katechetycznym kościoła Matki Boskiej Królowej Polski przy ul. Gospodarczej, a dyżury pełnione są w każdy wtorek między godz. 16 a 16.

Oprac. Zbigniew Miazga

SAMORZĄD - PANACEUM CZY PROTEZA?

Michał Zleliński

ZASADNICZYM celem tego artykułu ma być rozważenie kwestii efektywności ekonomicznej przedsiębiorstwa samorządowego i — szerszej — systemu gospodarstwa składającego się z takich przedsiębiorstw. Nie ukrywam, że uważam dziś, iż tego typu rozwiązanie jest swoistym surrogatem stanów optymalnych ekonomicznie, choć jeszcze kilka lat temu — podobnie jak wiele innych osób — skłonny byłem w systemie samorządowym widzieć model niemal idealny i choć wiem, iż taki pogląd nadal jest dość rozpowszechniony. Podłoże tych opinii ma jednak przede wszystkim etyczny-moralny, a nie ekonomiczny charakter. Jest to dość zrozumiałe, że w społeczeństwie utrwalonego egalityzmu, wyczulonym na kwestie etyczne, sposób myślenia akcentujący walor wspólnego gospodarowania i wspólnego decydowania upowszechnił się. Przyszłość się, że sam byłem kiedyś jego admiratorem.

Dlaczego w okresie „szesnastu miesięcy, które wstrząsnęły Polską”, byłem dość gorącym zwolennikiem rozwiązań samorządowych? Możliwe, że jakąś rolę odegrała tu „przedustawność” myślenia. Z jednej strony bowiem wiele nurtów myślowych lansowało idee samorządowe, z drugiej — wyniki gospodarcze Jugosławii oraz pozytywne jak mogło się wydawać — efekty, które przyniósł mitbestimmung w krajach zachodnich, skłaniały do takiego myślenia. Nie przywiązywałbym się jednak zbytnio do tych przesłanek. Okres, o którym mówię, nie przypominał bowiem intelektualno-politycznych szachów, w których można spokojnie przemyśleć najróżniejsze gambity, lecz raczej już hokej — sport bardzo szybki i dość brutalny. Spokojnego czasu na myślenie, jak i mamy teraz, nie było.

WRÓCMIY zatem do lata '80. Podstawą szerokiego społecznego konsensusu różnych sił w rozwijającym się wtedy ruchu społecznym było przede wszystkim dążenie do poprawy sytuacji materialnej. Powszechny był jesienią 1980 r. postulat reformy ekonomicznej i optymizm, że uda się ją szybko wprowadzić. Wiele wskazywało na to, iż spełnione są trzy konieczne warunki powodzenia: powszechne przeświadczenie o jej konieczności, polityczna zgoda władz i społeczne poparcie, wyrażające się w zgodzie na przyjęcie początkowych ciężarów reformy. Przypomnę jeszcze, co rozumiano wówczas pod pojęciem reformy, i to nie tylko w środowisku ekonomicznym. Wszystkie znane mi projekty reformy (z wyjątkiem projektu antyreformy przygotowywanego przez NOT) zakładały:

— maksymalizację zysku jako cel funkcjonowania jednostek gospodarczych;

— zależność wysokości płac w jednostkach gospodarczych od poziomu zysku;

— zniesienie możliwości dyrektywnego oddziaływania na jednostki gospodarcze przy równoczesnym uzależnieniu cen od relacji rynkowych;

— wprowadzenie rynku kredytowego, tj. zniesienia automatycznego „miękkiego” kredytowania i zastąpienia go normalnymi przetargami kredytowymi, w których procent nie jest wielkością daną lecz umowną;

— wprowadzenie rynku kapitałowego, tj. co najmniej możliwości swobodnego obrotu środkami produkcji;

— parametryzację handlu zagranicznego i wprowadzenie tak szybko, jak tylko byłoby to możliwe, wymiennalności złotówki.

Wiedzieć, dokąd się zmierza, było jednak wówczas czymś łatwiejszym niż to, jak się tam dostać. Doświadczenia 1956 i 1971 roku pokazywały, że możliwy jest taki rozwój wydarzeń, w którym władza z wielkim impetem i uroczystym dęciem w trąbę zaczyna pracę nad reformą, aby później wycofać się z niej przy cichym dźwięku skrzypiec. Pojawiał się zatem problem gwarancji dla reformy gospodarczej.

Gwarantem miały być wolne związki zawodowe. Łatwo jednak zauważyć, że związki zawodowe nie są akurat instytucją stworzoną po to, aby wymuszać na gospodarce jej wyższą efektywność. Stąd już na jesieni 1980 pojawiły się w ruchu społecznym, który wówczas krzepił hasła reformy samorządowej. Ku mojemu ówczesnemu zdziwieniu nie spotkały się one — początkowo — z entuzjastycznym przyjęciem działaczy robotniczych. Dominowała wówczas postawa, skądinąd racjonalna, że przeprowadzenie reformy i ratowanie gospodarki jest obowiązkiem władz, a zadanie związku sroguje się do walki o ochronę interesów pracowniczych.

Jeszcze większe zdziwienie budzi fakt, że postulat samorządów pracowniczych spotkał się dla odmiany (jesień 1980) z bardzo ciepłym przyjęciem w prasie partyjnej. Slogan „samorząd politycznym gwarantem reformy” bardzo często gościł w tamtych dniach na łamach „Trybuny Ludu”. Potem, w drugiej połowie okresu 1980—1981, role się odwróciły. Nie wnikam w przyczyny zmiany stanowiska oficjalnego, choć natomiast polemizować z rozpowszechnionym poglądem, że przyczyną zmiany stanowiska „Solidarności” była działalność „rzeczników określonych kół”. Teza taka możliwa jest jedynie wtedy gdy przyjmujemy mafijną interpretację historii.

Proponowałbym inną tezę, nie sprzeczną z faktami, a jak się wydaje — prostszą. Początkowo logiczne, jak wspomniałem, założenie, że reforma wprowadzana jest „odgórnie” — nie sprawdziło się. Sytuacja gospodarza na przełomie 1980 i 1981 roku pogarszała się gwałtownie, nie było widać szans na szybką poprawę, toteż nie dziwi mnie wzrost zainteresowania załóg gospo-

darską i próby przejęcia przez nie inicjatywy w swoje ręce. Zrozumiałe, iż w tej sytuacji zdecydowanie większą popularność zdobywał sobie samorządowy a nie menadżerski wariant reformy. Dodatkowo przemawiała za nim oplakana sytuacja gospodarza. Wiadomo było, iż reforma nie uruchomi — przynajmniej w początkowej fazie — dostatecznie silnych bodźców ekonomicznych, wobec tego niepomiernie rosnąć musiało znaczenie bodźców moralnych, na których wykrzesanie znacznie większe szanse dawał system samorządowy.

Na marginesie sprostować chciałbym jedno nieporozumienie. Otóż różnica między menadżerskim i samorządowym wariantem reformy często sprowadzana jest do kwestii: dyrektor wybierany przez załogę lub narzucany odgórnie. Tak też interpretowana była owa kwestia podczas ówczesnych sporów o ustawy o przedsiębiorstwie i samorządzie. Trudno się temu specjalnie dziwić, choć można w tym sporze dostrzec jedną z przyczyn oziębłego stosunku do reformy ówczesnych kadr kierowniczych średniego (przedsiębiorstwa) szczebla. Przewaga — potencjalna, rzecz jasna — systemu menadżerskiego polega na jego szybkości decyzyjnej. Istotną część decyzji, w tym także dotyczących ruchu kapitału, musi podejmować dyrektor. Po prostu okazja irratnego sprzedania środków produkcji, zawarcia długookresowego kontraktu et cetera, może „uciec”, jeżeli poddana zostanie procedurze zatwierdzenia samorządowego. Decyzje takie łączą się jednak ze znacznym ryzykiem, a ich konsekwencje, w przypadku błędu, zawsze ponosi załoga.

Oczywiście kryterium odróżnienia systemu menadżerskiego i samorządowego widzę w podziale uprawnień decyzyjnych, a nie w sposobie zatrudniania dyrektora. Nie wyobrażam sobie, rzecz jasna, sytuacji, w której samorząd nie miałby żadnych uprawnień, a co za tym idzie — nie uważam „przywożenia dyrektora w teczkę” za zdrową sytuację.

STARALEM się przedstawić do tej pory, dlatego przed kilku laty byłem gorącym zwolennikiem reformy samorządowej. Łatwo mi jest również uzasadnić odmienny dziś do niej stosunek. Z trzech przesłanek reformy samorządowej (przeświadczenie o konieczności, polityczna zgoda i społeczne poparcie) nie występuje dzisiaj w dostatecznym stopniu żadna. W wymienionych sześciu zasadniczych kierunkach reformy nie posumeliśmy się naprzód wcale, lub prawie wcale. Hasło: „samorząd gwarantem reformy” nie spełniło się. Co więcej, wprowadził samorząd nie jest warunkiem koniecznym reformy gospodarczej, jednak reforma jest warunkiem realnej egzystencji samorządów (w przeciwnym wypadku mogą one decydować najwyżej o tym, na jaki kolor poma-

lować plot fabryczny). Tak więc i dziś można poddawać w wątpliwość rację ich bytu.

W jakimś sensie jesteśmy więc w punkcie wyjścia. Nie zaszliśmy daleko, ale za to mamy czas na refleksję. A zatem spróbuję przedstawić swoją — opartą o kryteria ekonomiczne — ocenę.

Po pierwsze, dla uniknięcia nieporozumień, odróżnijmy przedsiębiorstwa samorządowe od form podobnych, ale różniących się istotną cechą ekonomiczną — własnością. Chodzi tutaj o: spółdzielnie konsumenckie, spółdzielnie produkcyjne i spółki kapitałowe. W przedsiębiorstwach samorządowych nadaje się uprawnienia własnościowe załogę, ale nie jest ona właścicielem powierzonego kapitału. Odmienne w spółkach i spółdzielniach, gdzie istnieje jedność ekonomicznej i prawnej formy własności. W efekcie bankructwo spółek i spółdzielni oznacza bankructwo udziałowców, podczas gdy bankructwo przedsiębiorstwa samorządowego nie oznacza dla załogi utraty włożonego kapitału, a jedynie utratę miejsca pracy. Do tej istotnej cechy przedsiębiorstwa samorządowego jeszcze powrócę.

Po drugie, uściślenia wymaga układ, w którym występuje przedsiębiorstwo samorządowe. Warto tu wyróżnić trzy momenty:

— pojedyncze samorządowe przedsiębiorstwo w otoczeniu jednostek niesamorządowych;

— przedsiębiorstwo samorządowe jako dominująca forma jednostek gospodarczych;

— system gospodarczo-polityczny oparty na samorządowych jednostkach gospodarczych, które wytwarzają specyficzny nierynkowy układ podejmowania decyzji gospodarczych. System taki, który w rzeczywistości nigdy i nigdzie nie występował (choć nominalnie bliska wydaje mu się być Jugosławia), przedstawiany jest czasem jako alternatywa tradycyjnych form politycznych (dyktatura, demokracja itd.) oraz tradycyjnych systemów gospodarczych (gospodarka rynkowa lub administrowana).

OCENA wyżej wymienionych rozwiązań może być prowadzona w oparciu o kryteria bezwzględne (najlepsze z możliwych do pomyślenia) albo względne (najlepsze z — biorąc pod uwagę istniejące ograniczenia — dających się wprowadzić w życie lub lepsze niż...). Myślę, że ocena względna nie wywołuje specjalnych kontrowersji, zwłaszcza jeżeli jako kontrwariant przyjmujemy skrajnie scentralizowaną nakazowo-nomenklaturową gospodarkę. Sądzę natomiast, iż z wielu utopii wizja samorządowego cudu gospodarczego i społecznego jest dzisiaj chyba w Polsce najpopularniejsza.

Sprawa wydaje się dość prosta, jeżeli samorządowy charakter chcemy nadać niewielu przedsiębiorstwom. Wówczas przedsiębiorstwo takie dostosuje się do panujących reguł gry. W systemie rynkowym osiągnie zadowalający stopień rentowności, w systemie gospodarki administrowanej stanie się pokornym wykonawcą nakazów. Sama nazwa nie sprawi, aby różniło się istotnie od przedsiębiorstw nakazowych. (Tej kwestii w istocie dotyczyło nie-

POLSKIE GOSPODARSTWO

UPRZEJMIE DONOSZĘ...

Andrzej W. Pawluczuk

WYBORY mamy już za sobą, emocje powoli opadają i wprawdzie nie wszyscy wygrali, co było ich zdaniem do wygrania, to obciążanie przeciwników za własne błędy uważam za wyjątkowo niesmaczne. Ale chciałem nie o tym, chociaż też o niesmacznym. Oto leży przede mną kilka ulotek, zwanych potocznie „falszywkami”, jakie były naklejane na murach bądź zrzucone z powietrza. „Falszywka” oznacza, że podpis pod treścią ulotki został podany fałszywie. W istocie autorem ulotki jest zupełnie ktoś inny, a stroi on się w cudze piórka po to, aby zaszkodzić temu, czym imie-

niem się podpisał. Tak było na przykład z ulotkami sygnowanymi: „Solidarność”, a wzywającymi do wpłacenia „symbolicznego dolara na nasz fundusz wyborczy”. Są też i takie „falszywki”, które mają rzucić cień nie na ich rzekomego autora, a wtedy podpisuje się je pierwszą lepszą nazwą. I takie dwie ulotki leżą przede mną.

Ten, kto je sprokurował, pragnął oszkalować kandydata do Senatu, a dzisiaj już senatora, pana doktora Adama Stanowskiego, człowieka nieposzlakowanej uczciwości i niezwykłego hartu ducha. Oto, co na tych ulotkach

napisano: „Senator Stanowski vel Erlich to jest to na co oczekuje Polska”. Podpisano: Polska Partia Narodowa. I ulotka druga, opatrzona rysunkiem gwiazdy Dawida: „Jeśliś Polak oddaj głos na Stanowskiego vel Erlich”. Te podpisano inaczej: TPZ KPN. (Nb. ich autor ma poważne kłopoty z polszczyzną, ale to inna sprawa).

Osobiście nie sądzę, aby bycie Żydem było czymś wstydlivym lub godnym pogardy. Dlatego napisałem: „próbował oszkalować”, nie zaś: „oszkalował”. I rzecz warta byłaby co najwyżej wzruszenia ramion, gdyby nie... hm, ten sposób myślenia, który znam dobrze od wielu, wielu lat.

Otóż, po pierwsze, autorzy ulotki wychodzili z założenia, że Polacy są narodem ciemnych, tępych ludzi, którzy oceniają innych nie na podstawie tego, co robią i jacy są, ale na podstawie kształtu nosa, religii i przynależności rasowej. Słowem, że wystarczy rzucić odpowiednie hasło, a naród pójdzie za nim szparko. A więc trzeba mieć w niesłychanej pogardzie tych, do których adresuje się tego rodzaju ulotkę, skoro uważa się, że może ona odnieść jakikolwiek skutek.

Po wtóre, autorzy tego rodzaju perswazji wychodzą z założenia, że nie są ważne fakty, ale odpowiednio sprokurowana propaganda. Dlatego zamiast zrobić coś dobrego dla ludzi, o głosy których zabiegają, oni wolą oszkalować swojego politycznego przeciwnika. Mniej z tym zachodu, taniej to, a i rzecz wydaje się załatwiona za jednym zamachem. Otóż nieprawda, panowie. Ludzie nie są takimi durniami, za jakich ich macie, wbięte to sobie wreszcie do swoich tępych łbów i przestańcie marnować papier na jakieś bzdury, które nikogo w tym kraju nie interesują.

Nie wiem, do kogo zwracam się w ten sposób, ponieważ prawdziwi autorzy ulotki są mi nieznani. Ale oto parę dni temu natknąłem się w Lublinie na afisz wyborczy, który jakoś koresponduje z owymi ulotkami. Koresponduje zaś dlatego, że posługuje się również dosyć dziwnym słownictwem. Otóż napisane jest tam tak: „nie ważne kto jest nasłany przez władzę a kto przez Solidarność...” Nasłany? Dlaczego właśnie nasłany? Tylko ktoś, kto hołduje spiskowej teorii ruchów społecznych, mógłby użyć takie-

porozumienie w toczonej się na łamach „Tygodnika Powszechnego” dyskusji o „dobrej” i „złej” spółdzielczości).

Wygląda to równie przejrzyście, gdy analizujemy wizję „anarchosyndykalną”. System taki nie może powstać samodzielnie drogą naturalnej ewolucji, ponieważ opiera się na „zaborze własności”. Kapitał — obojętnie, czy skumulowany przez jednostki, czy też przez całe, w przypadku własności państwowej, społeczeństwo — musi być odebrany dotychczasowym właścicielom i przekazany w użytkowanie pracownikom poszczególnych zakładów. Nie wiem, czy jest to rozwiązanie szczególnie sprawiedliwe. Wątpię także, czy zastąpienie klasycznej demokracji, z jej głosowaniem poglądami, przez demokrację samorządową, z właściwym jej głosowaniem partykularnymi interesami ekonomicznymi, byłoby politycznie efektywne. Na pewno zaś nie byłaby efektywna ekonomicznie tendencja do zastąpienia rywalizacji ekonomicznej na rynku — rywalizacją polityczną w strukturach supersamorządowych.

Pozostaje do rozważenia sytuacja trzecia, w której przedsiębiorstwo samorządowe jest formą dominującą (choć nie jedyną) — działającą na zasadach rynkowych, przy równoczesnym występowaniu sprawnych mechanizmów politycznych. Sytuacja takiej, choć dziś wydaje się nierealna, nie można wykluczyć w przyszłości jako końcowego stadium ewolucji gospodarki scentralizowanych.

Z góry jednak można sformułować pewne dość istotne ograniczenia „wydolności” takiej gospodarki. Wiąże się one z brakiem ekspansywności i małą mobilnością gospodarczą, co tworzyłoby tendencje do petryfikowania struktur gospodarczych. Oznaczałoby również niską skłonność do „wymyślenia” postępu technicznego, a równocześnie — ze względu na specyficzny punkt optimum przedsiębiorstwa samorządowego — występowałyby dążność do ograniczenia zatrudnienia. Paradoksalnie mogłaby to być gospodarka zarówno niewydolna, jak i z inklinacjami do bezrobocia.

Wspomniane ograniczenia wiążą się przede wszystkim z systemem własności charakterystycznym dla przedsiębiorstw samorządowych. Posługując się określeniami zaadaptowanymi dla polskiej myśli społecznej przez J. Staniszkisa, można powiedzieć, że samorząd jest typowym przykładem władzy, niepełnej i niekompletnej. Samorządowi nie można nadać przywileju dziedziczenia (przesłaboby zresztą wtedy być to przedsiębiorstwo samorządowe, zamieniając się w powstałą „z cudzego” spółdzielnię); ogranicza to horyzont czasowy interesu ekonomicznego pracowników do przewidywanego okresu pracy — w najlepszym przypadku do emerytury, czyli średnio — kilkanaście lat. Oczywiście, musiałoby to powodować skłonność do wyboru rozwiązań „konsumpcyjnych”, a nie „inwestycyjnych”.

Wątpliwości budzi też możliwość nadania uprawnień do zmiany postaci własności (sprzedaży majątku przedsiębiorstwa, łączenia go z innymi). Istnieje tutaj alternatywa. Jeżeli takie uprawnienia zostaną nadane, utworzą

się spółki kapitałowe o silnie zróżnicowanej wielkości, dosyć odległe od swoich samorządowych pierwowzorów. Równałoby się to po prostu ewolucji w stronę systemów podobnych do istniejących w krajach zachodnich. Jeżeli natomiast uprawnienia takie byłyby ograniczone, oznaczałoby to „przypisanie kapitału do galezi”, a zatem wspomnianą poprzednio petryfikację struktur gospodarczych, odcieplenie adaptowanie postępu technicznego, mało elastyczną reakcję na powstawanie nowych potrzeb i produktów. Przypomnę, iż w latach siedemdziesiątych decyzje o produkcji telewizorów kolorowych podejmowały najwyższe władze partyjno-państwowe. Efektem byłoby utrzymanie monopolistycznej pozycji przedsiębiorstw.

W DOTYCHCZAS toczonych dyskusjach często spotykałem się z kontrargumentem, który umownie określałem jako „społeczny”. Rozumowanie w nim zawarte jest mniej więcej następujące: „Zgoda, przedsiębiorstwa samorządowe mają ograniczenia efektywnościowe, ale — po pierwsze — są lepsze niż inne warianty organizacji przedsiębiorstw (na to z kolei moja zgoda), a po drugie — są pewną wartością samą w sobie, szkołą współżycia i współdziałania społecznego, doskonałym poligonem myślenia ekonomicznego”.

Przyznaję, że takiego rozumowania do końca nie pojmuję. Sam ekonomista, przyzwyczajony jestem do traktowania gospodarki jako miejsca, w którym o rozporządzalnych zasobach „wyciska” się maksymalną ilość dóbr potrzebnych do zaspokojenia społecznych potrzeb. Nie oznacza to oczywiście, że wszelka inna aktywność społeczna jest zbędna i wszyscy mamy zamienić się w króla Midasa zajmującego się wyłącznie liczeniem złota. Dobrobyt materialny nie musi oznaczać zadowolenia społecznego, ale nie oznacza to, iż specyficzne zaprzeczenie tego twierdzenia: „Nędza daje szczęście” jest prawdziwe. Dotychczasowe doświadczenia społeczeństw, które w działalności gospodarczej próbowały odchodzić od prymatu efektywności w stronę innych wartości, nie są zachęcające (co nie oznacza, że należy negować wartości niematerialne).

Zgadzam się natomiast z poglądem o koniecznej edukacji ekonomicznej i cieszę się, że w tym także samorządowe — formy. Chcę zwrócić uwagę na kilka tylko spektakularnych faktów. Największą — może obok epitetu „zdrajca” — inwektywą jest „dorobkiewicz”, czyli ktoś, kto własną, zapewne dość ciężką pracą zwiększył swój standard życiowy. Podobnie przymiotnik „komercyjny” (czyli dźbrze, z zyskiem wyprodukowany i sprzedany) oraz „komercjalizacja” (która jest po prostu synonimem reformy) mają wydzwięk zdecydowanie pejoratywny. Ze nie o słowa tu idzie, niech świadczy, iż na społeczne — autentycznie — żądanie wprowadziliśmy drakońskie kary za odsprzedaż jakiegokolwiek przedmiotu z zyskiem. Czyli za działalność na całym świecie normalną, uznaną za ekonomicznie i społecznie użyteczną. Od tego już tylko krok do zasądzenia „cwaniaków” kupujących ryby od rybaków na wybrzeżu i sprzedających je z zyskiem w głębi kraju. Oczywiście taniej niż Centrala Rybna.

dzie, czy jest to w porządku. A być może tamte dwie ulotki i ten afisz wyprodukowano w tym samym miejscu. Wtedy byłoby wiadomo, kogo należy szukać.

Podsuwam ten trop bezinteresownie.

A jeżeli ktoś z czytelników ma w domu inne „fałszywki”, chętnie je obejrzę i sfotografuję ku pamięci.

PS. Odpowiadam red. Piaseckiemu, który kilka tygodni temu polemizował z moimi argumentami na rzecz zaniechania budowy elektrowni atomowych w Polsce. Otóż w jego felietonie wszystko trzyma się kupy z wyjątkiem jednej, ale za to podstawowej rzeczy. Mianowicie mój przeciwnik zdaje się nie wiedzieć, czemu służą elektrownie. Skoro uważa on, że nie musi niczego czytać na ten temat, pozwól sobie przypomnieć mu, że elektrownie buduje się po to, aby dostarczać prąd. Jeżeli zaś z wyliczeń fachowców wynika, że prąd mamy pod dostatkiem, tyle że go bezrozumnie marnujemy, to jest taniej, a i lepiej dla gospodarki, środowiska i człowieka, aby prąd oszczędzać, nie zaś budować nowe fabryki prądu, których — jak wskazuje stan uzbrojenia technologicznego PRL — zapewne nie potrafimy bezpiecznie eksploatować. Jeżeli red. Piasecki chce dowiedzieć się innych szczegółów technologicznych i ekonomicznych, na przykład: do czego (poza odkurzaczem) potrzebny jest prąd elektryczny, służę bogatą bibliografią przedmiotu.

KUMOTRZY ZE SPÓŁDZIELNI „CZUBY”

KOMU GARAŻE, KOMU?...

Isabella Wlazłowska

PROTEST podpisało 30 mieszkańców osiedla „Ruta” w Lublinie. Później dołączyło do nich dalszych 118 mieszkańców. 6 marca tego roku wystąpili już po raz wtóry do zarządu Spółdzielni Mieszkaniowej „Czuby”, zarzucając władzom spółdzielni nieprawidłowe powołanie zespołu numer 1 budowy garaży na ich osiedlu.

W dwa miesiące później zarząd spółdzielni odpowiedział zainteresowanym, że „sprawa została zbadana przez starszego specjalistę d/s kontroli wewnętrznej, jak również Komisję Rewizyjną Rady Nadzorczej. W wyniku postępowania nie dopatrzaliśmy się uchybień ze strony zarządu spółdzielni w stosunku do obowiązujących w tym względzie przepisów. Stąd też brak podstaw do uchylenia decyzji z dnia 21.02.1989 r. odnośnie powołania zespołu nr 1 budowy garaży”.

Na osiedlu „Ruta” czekała na mnie spora grupa mężczyzn. Oto, co mi powiedzieli:

— Na wiosnę 1988 roku ukazało się na osiedlu ogłoszenie, że przyjmowane będą podania od osób ubiegających się o garaże. Przez kilka miesięcy w administracji osiedla można było składać te podania. Chętnych było wielu. Podania nasze wpisywane były do zeszytu-rejestru. Aż tu nagle w lutym tego roku wywieszona została informacja, że na podstawie opinii Rady Osiedla decyzją z 21 lutego zarząd spółdzielni „Czuby” powołał zespół nr 1 budowy garaży w następującym składzie. I pod spodem wypisana była lista 114 osób, które zakwalifikowały się do tego zespołu. Tyle tylko, że nie wiadomo, w jaki sposób, bo na pewno niezgodny z tym, co stanowi w tej sprawie statut spółdzielni.

Paragraf 75 statutu mówi: „O garaże ubiegać się mogą członkowie spółdzielni, którzy złożyli pisemny wniosek i zostali wpisani do rejestru zgłoszeń prowadzonego przez spółdzielnię. Przydział garaży (oddania w najem) dokonuje zarząd spółdzielni na rzecz osób wpisanych do rejestru zgłoszeń według kolejności wpisu w tym rejestrze. Pierwszeństwo przysługuje członkom zamieszkałym w danym osiedlu. Przydział garaży na rzecz osób ubiegających się o garaże samochodowy w związku z inwalidztwem następuje z pominięciem kolejności zapisu w rejestrze zgłoszeń”.

— To, co zostało zapisane w statucie, jest chyba jasne i zrozumiałe dla wszystkich i nie wymagało tworzenia jakichś wyjątkowych podstaw prawnych.

— Jak to zawsze bywa z tzw. tworem deficytowym, nie było szansy, aby go naraz wszyscy otrzymali. Nie wiadomo bowiem, czy spółdzielnia otrzymała jeszcze kolejną lokalizację na budowę dalszych garaży. Musieli więc być gorsi i lepsi. No i dla tych „lepszych” zarząd i Rada Nadzorcza spółdzielni wymyśliła dodatkową uchwałę, która obowiązuje już teraz w całej spółdzielni, a więc i na innych osiedlach również.

— 22 grudnia 1988 roku Rada Nadzorcza spółdzielni „Czuby” podjęła (można by rzec: tajnie, bo my jako zainteresowani w ogóle o jej istnieniu nie wiedzieliśmy) uchwałę numer 38/88 pt. „Zasady budowy, finansowania, przydziału i użytkowania garaży oraz rozliczeń z użytkownikami garaży”. Uchwała i załącznik do niej nie były publikowane ani wywieszane w lokalu spółdzielni.

Paragraf 14 te same uchwały stanowi, że „pierwszeństwo przydziału garażu (oddania w najem) posiadają członkowie: użytkownicy pojazd mechaniczny w związku z inwalidztwem [identyczny zapis jest przecież w statucie — przyp. I. W.]; będący pracownikami spółdzielni, o dużej przydatności zawodowej i wysokim zaangażowaniu w pracy; legitymujący się pracą społeczną w organach samorządowych spółdzielni; wyróżniający się dużym zaangażowaniem w działalność na rzecz spółdzielni; zamieszkał w danym budynku — osiedlu”.

— I tym sposobem, w oparciu o tzw. kryteria ocenne kolegi przez kolegę, na liście tej znalazł się przewodniczący Rady Nadzorczej i jej członek, kierownik administracji naszego osiedla, przewodniczący i wiceprzewodniczący Komitetu Osiedlowego, pracownicy zarządu oraz ich przyjaciele i znajomi. Łącznie na 114 osób 55 osób to właśnie te „zaangażowane w działalność na rzecz spółdzielni”, a reszta stanowią osoby z kolejności wpisu do rejestru.

— Na dwóch zebraniach, które zorganizowaliśmy w związku z naszym protestem, prezes Kujawa wyjaśnił nam, że wśród tych 55 osób są i takie, które znalazły się na liście, ponieważ zostały wylosowane.

— O żadnym losowaniu nikt nie wiedział. Gdzie się odbyło, kiedy? Dlaczego się ono w ogóle odbyło?

— Na te pytania prezes Kujawa też nie potrafił nam odpowiedzieć. Tłumaczył coś mgliście i zawile.

— Wie pani, kto się „wylosował”? Na przykład żona prezesa Spółdzielni Mieszkaniowej „Kolejarz”, mająca numer mieszkania 32, oraz dziwnym zbiegiem okoliczności jej najbliżsi sąsiedzi spod numerów: 30, 31 i 33. Również sąsiedzi pracownicy zarządu, mającej numer mieszkania 55, oni zaś numerami: 46, 50, 51, 52, 59. Z bloku, w którym mieszka kierownik administracji, aż 20 osób znalazło się na liście „szczęśliwych”.

— Są na liście i takie osoby, które w ogóle nie mają samochodu.

— Stare wraca, proszę pani. Epoka „błędów, wypaczeń i wynaturzeń” zaczęła się w spółdzielni „Czuby” od nowa. Z nami się nikt nie liczy. Nie mamy siły, aby to przerwać.

Wiceprezes Kujawa, z którym rozmawiałam, wyraził podobne stanowisko jak to, które zarząd zawarł w piśmie skierowanym do protestujących mieszkańców osiedla „Ruta”. Nie dopatrył się więc, by uchwała nr 38/88 była niezgodna ze statutem, a sporządzona lista zawierała jakieś nieprawidłowości. Nie odpowiedział na moje pytanie, co to oznacza przydział garaży osobie „wyróżniającej się dużym zaangażowaniem w działalność na rzecz spółdzielni”. Prosił tylko, by poczekać z napisaniem artykułu do czasu kiedy ilustrator Centralnego Związku Spółdzielni Mieszkaniowych zakończy w tej sprawie kontrolę.

2 maja mieszkańcy osiedla „Ruta” wystąpili do Sądu Rejonowego w Lublinie z pozwem przeciwko Spółdzielni Mieszkaniowej „Czuby” o uchylenie uchwały nr 38/88 Rady Nadzorczej — jako niezgodnej ze statutem spółdzielni — oraz wydanie postanowienia wstrzymującego budowę garaży przez zespół nr 1.

MOŻE DO KOŃCA XX WIEKU UPORAMY SIĘ Z INSTALOWANIEM SŁUPÓW OGŁOSZENIOWYCH?

ZA JEDENAŚCIE LAT ROK 2000

CZY w czasach zdominowanych przez gospodarkę i politykę jest miejsce dla kultury? Takie pytanie-hasło przyświecało dyskusji, jaką w redakcji tygodnika „Relacje” zorganizował lubelski oddział Klubu Publicystów Kulturalnych Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL. Gośćmi byli: Andrzej Szpringer — I sekretarz KW PZPR, członek Sejmowej Komisji Kultury i takiej samej Komisji przy Komitecie Centralnym, wicewojewoda lubelski Bonawentura Ziemia oraz dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki UW Edward Balawejder. Przy dyskusyjnym stole zasiadli dziennikarze z lubelskiej prasy, radia i telewizji. Niniejsze notatki nie są pełnym zapisem dyskusji, tylko wypunktowaniem pewnych tematów, problemów najczęściej powracających i — wydaje się — najważniejszych.

Andrzej Szpringer sformułował odpowiedź na podstawowe pytanie — jest miejsce dla kultury, bo politykę też trzeba robić w sposób kulturalny, mądrze po prostu. Zwrócił też uwagę, że od czasu „pontyfikatu min. Krawczuka” zaczęło się mówienie o dobrej pozycji polskiej kultury na świecie, o możliwościach jej sprzedawania czy promowania. Obok tego padły gorzkie uwagi o lokalnych stratach kultury (zagubienie Jerzego Leszczyńskiego jako szefa Teatru Wizji i Ruchu) czy trudnościach („Gardzienice”). Do negatywów zaliczyć też należy niedotrzymanie przez władze słowa danego środowiskom twórczym — obietnic mieszkaniowych, lokalowych (Teatr Muzyczny). Myślą przyświecającą w tej kadencji Sejmowej Komisji Kultury było niedopuszczenie do regresu kultury w czasach bardzo dla niej brutalnych, a gdzieś tam starania o postęp. „Fratnowały nasze zainteresowania: problem książek, nowe techniki, promocja polskiej kultury za granicą, porozumienie się środowisk twórczych” — dodał A. Szpringer.

Red. Franciszek Piątkowski zwrócił uwagę, że bardzo poprawiła się pozycja woj. lubelskiego pod względem środków uzyskanych z Narodowego Funduszu Kultury. Wśród 49 województw jesteśmy na ósmym miejscu zarówno w 1987, jak i 1988 roku. W zakresie udziału własnych środków na kulturę niezmiennie znajdujemy się na 1-2 miejscu. Za niepokojące uważa natomiast, że władze państwowe „zamyknęły już receptory na dalsze potrzeby kultury”. 70 proc. budżetu in-

stytucji artystycznych pochłaniają placę; w upowszechnianiu jeszcze gorzej — 90 proc. na placę. Narodowy Fundusz Kultury jest tylko funduszem ocalenia czy podtrzymania kultury.

Z propozycji, jakie padły, interesujące wydaje się pytanie, czy nie powinniśmy kultury „wyprowadzić” z zakładów pracy (niżej podpisany widzi taką potrzebę w dużych ośrodkach miejskich, gdzie ZDK są już tylko kadłubkiem, ale nie w małych miastach, w których są swoistym centrum kultury — vide Poniatowa czy Kraśnik)?

Oto inne wnioski, jakie pojawiły się w dyskusji:

— Niepotrzebnie, a od lat stosowano rozgraniczenie kultury od oświaty, co powoduje, że dziecko nie jest odpowiednio przygotowane do recepcji kultury (Adam Wierzbicki).

— Ucieczka młodzieży ze wsi powodowana głównie niezaspokojeniem potrzeb kulturalnych. Nadzieja wiejskiej kultury nie tyle w samorządności, co w nauczycielach (Iwona Nowakowska).

— Brak tematyki kultury przy „okrągłym stole” można wytłumaczyć tym, że potrzebna jest nam dziś przede wszystkim reforma ekonomiczna. Jeśli będziemy mieli pieniądze, częściej zaspokoimy potrzeby kulturalne w tym potrzebę elementarną — książki (Krystyna Kotowicz).

— Należy powołać Towarzyski Krąg do Walki z Bezprawiem Cenzury (Kazimierz Pawełek).

— Nie doceniamy tego, co w województwie się dzieje. Nasz program edukacji kulturalnej dzieci i młodzieży wyprzedził program ministerialny (Bonawentura Ziemia).

— Pozytywem Wydziału Kultury UW jest fakt, iż dofinansowuje program artystyczny Rozgłośni Polskiego Radia w Lublinie (Krystyna Kotowicz).

— Od lat nie wybudowano w Lublinie (oprócz DK Czechów) placówki kulturalnej. Tuż się Teatr Muzyczny (Janusz Świąder).

— Ogromny problem kultury wiejskiej, ale i pytanie. Dlaczego pani inspektor oświaty w gminie krytykuje, że się nic nie robi, a sama nic nie robi? Dlaczego bywa, że pieniądze rady sołectwa przeznaczone na kulturę leżą niewykorzystane? Z drugiej strony — w miastach zakłady w ub. roku przeznaczyły dla województwa 481 tys. zł przy 2 milionach od osób fizycznych. 10 procent z zysków zakładów pracy też nie jest na razie osiągalne (Edward Balawejder).

Na hasło: za 11 lat rok 2000, z czym wkroczy w XXI wiek w kulturze lubelskiej? — E. Balawejder stwierdził, że nie wyobraża sobie 2000 roku w Lublinie bez teatru, bez Lubelskiego Centrum Kultury (na bazie LDK lub gdzie indziej), bez wyższej szkoły muzycznej, bez dobrych warunków dla średniej szkoły muzycznej (obecnie przy Krak. Przedmieściu), bez Lubelskiej Galerii Sztuki Współczesnej, bez nowej biblioteki wojewódzkiej, siedziby dla Lubelskiego Studia Teatralnego i Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, bez remontu staromiejskich kamienic dla ośrodków twórczych, bez filii bibliotek i być może bez kina z prawdziwego zdarzenia.

nośnikiem kultury) w tym mieście. Za zupełnie realne uznał zaistnienie w roku 2000 lokalnego ośrodka radiowo-telewizyjnego, przekątnika telewizyjnego w Piaskach i studia nagrań w nowym teatrze, a za najgodniejsze poparcia — inicjatywę prof. Cackowskiego, by w Lublinie swoją siedzibę miał Uniwersytet Europejski.

Ten optymizm podsycał Edward Balawejder, dorzucając, że istnieje szansa, by w roku 2000 działało u nas aż siedem teatrów (!). W sferze dobrych życzeń pozostaje też pasaż artystyczny na Starym Mieście, stworzenie otwartej galerii w centrum miasta i zago-



Od lewej: F. Piątkowski, E. Balawejder, B. Ziemia, K. Kotowicz.
Fot. Waldemar Stępien

Andrzej Szpringer uznał, że aby to wszystko zrealizować, musi się znaleźć partner kształtujący opinię publiczną. Musi istnieć np. pewna presja na ludzi, którzy dzielą lokale, by wiedzieli, dla kogo i po co. Dodał, że rok 2000 to rok dla oficyny wydawniczej, rok lubelskiej Doliny Krzemowej (potencjał naukowy), rok trzech teatrów i — co może zabrzmieć dziwnie — rok, w którym uporamy się z instalowaniem słupów ogłoszeniowych (w końcu także

spodarowanie dla kultury placu przy ul. Pstrowskiego).

I na koniec tej skróconej relacji — konkretny, który padł z ust dyrektora Balawejdera, a który zaczyna od tej chwili życie publiczne. Jesienią 1992 roku ma się odbyć pierwsza premiera w historycznym już, chociaż jeszcze nie otwartym — nowym gmachu teatru.

Notował: Andrzej Molik

LISTY-POLEMIKI

„OBLICZA STAROŚCI”

Nawiązując do artykułu „Oblicza starości” autorstwa Violetty Krasnowskiej, zamieszczonego w numerze 16. Tygodnika „Relacje”, pragnę przedstawić stanowisko własne oraz pracowników Domu.

Państwowy Dom Pomocy Społecznej dla Dorosłych Nr 1 w Lublinie istnieje 32 lata. Mieszka w nim 210 pensjonariuszy, w tym 15 osób od chwili powstania Domu. Wiek mieszkańców od 18-tu do 98 lat. Nie jest więc rzeczą dziwną, że niektórzy mieszkańcy przebywają w moim Domu od lat ponad 30-tu.

Dom, poza sprawowaniem opieki nad ludźmi starymi, prowadzi w odniesieniu do ludzi młodych pełny proces rehabilitacji leczniczej, społecznej i zawodowej, umożliwiając podjęcie pracy lub nauki. Wielu naszych mieszkańców usamodzielnili się, uzyskując przy znaczących staraniach pracowników mieszkania spółdzielcze, a Dom pomagał w ich zagospodarowaniu. Nadal utrzymują oni z nami kontakty,

korzystają z pomocy obiadowej i usługowej, świadczonej przez pracowników Domu.

Jak więc można się zorientować, nasz Dom nie wszystkim „kojarzy się nieodłącznie ze szpitalem i poczekalnią”. Niewątpliwie dla pensjonariuszy jest najczęściej wyborem z konieczności, a powolny proces adaptacji jest reakcją obronną na trudną sytuację, jaką zgotowało im życie.

Stąd też starania Domu o wypełnienie czasu wolnego mieszkańców i dobre pojętą rehabilitację społeczną owocują spotkaniami z młodzieżą, ciekawymi ludźmi, występami zespołów artystycznych, wyświetlaniem filmów, oglądaniem telewizji i słuchaniem audycji radiowych, wyjazdami do kin, teatrów, cyrku, wreszcie wycieczkami o charakterze krajoznawczym, jak i rekreacyjnym. Do bardzo częstych form zajęć terapeutycznych należą w tej placówce wieczorki towarzyskie oraz spotkania przy herbatce.

O tych aspektach pracy Domu w artykule nie zamieszczono żadnej wzmianki. Dlatego z przykrością stwierdzam, że obraz, który może ukształtować się po przeczytaniu arty-

kułu, sprowadzi działalność Domu do charakteru „dawnego przytułku”.

Nadmieniam również, że spośród 210 pensjonariuszy tylko 6 osób może bez opieki wyjść do miasta. W odniesieniu do 40-tu mieszkańców każdorazowo ich wyjście poza Dom związane jest z przydzieleniem opiekuna i zapewnieniem sprzętu rehabilitacyjnego (wózki inwalidzkie, balkoniki, laski). Natomiast 164 osoby to pensjonariusze nie opuszczający pomieszczeń Domu. To dla nich zorganizowano kaplicę, zatrudniono księdza kapelana, to dla nich jest świetlica.

Od lat 20-tu leży w pozycji „na brzuchu” pan C., nie ma odleżyn ani odparzeń, nie jest wyniszczony.

Od lat ponad 40-tu leży pani W., również bez odleżyn i innych zmian na skórze, które świadczyłyby o zaniedbaniach pielęgnacyjnych.

Od lat 38-miu osobą leżącą jest pani S., bez odleżyn.

Od lat 19-tu z całkowitym bezwładem kończyn dolnych i górnych leży pan R., bez odleżyn.

Przykłady powyższe można podawać w odniesieniu do wymienionej liczby 164-ch pensjonariuszy.

Pozwolę sobie zauważyć, że opiekę nad nimi wszystkimi sprawuje personel, a „nie krasnoludki”. Personel pielęgniarski w liczbie 15 osób, w tym 11 siostr zakonnych Zgromadzenia Sercanek. Nie muszę nadmieniać, że pracują one z pełnym oddaniem, nie licząc godzin i dni wolnych od pracy, które z reguły spędzają również wśród mieszkańców.

Pominięcie tego faktu w omawianym artykule sprawiło siostron wielki ból, tym bardziej, że nie tak dawno wszystkie siostry z satysfakcją przyjęły uhonorowanie tytułem Lublinianki Roku — pracującej w naszym Domu pielęgniarki, siostry Asceliny.

Z pełnym szacunkiem dla działalności Domu Opieki przy ulicy Ogrodowej, ale są to dwie zupełnie nierównoważne placówki, o czym świadczą fakt, że pani W., która przebywała u Siostry Albertynek od 7.02.1988 r., została przyjęta do naszego Domu dnia 17.03.1989 r. A została przeniesiona na własną prośbę, ponieważ porusza się na wózku inwalidzkim i jak sama pisze w podaniu, „jest osobą obłożnie chorą, wymagającą pomocy i opieki osób drugich”.

To przy pielęgnacji takich mieszkank siostra J. zerwała ścięgna w stawie nadgarstkowym i po zabiegach

Dokończenie na str. 13

PRAGNĄC zwrócić uwagę władz ZSRR na nieuchronność narodowej katastrofy przy istniejących metodach zarządzania, Solżenicyn napisał w sierpniu 1973 roku w Rozdziale 1/1st'je „Pismo wózjom Sowiet-skiego Sojuza” („Pismo do przywódców ZSRR”), które wysłał do KC KPZR. Nie wywołało ono żadnej reakcji. W styczniu 1974 roku publikacja ukazała się za granicą w wielu językach europejskich w gazetach, czasopiśmie i oddzielnych edycjach. „Pismo do przywódców...” pragnął Solżenicyn połączyć z „Żyt' nie po lży” („Nie żyć fałszem”). Równocześnie Natalia Swietłowa przepisywała i przedrukowywała ostatnie rozdziały „Tielonka” („Bodalsja...”), które wspólnie z Solżenicynem fotografowali i przygotowywali do wydruku.

Kampanię przeciw Solżenicynowi tym razem rozpoczęła „Prawda”, a dołączyły się do niej także inne organa

Przed utratą życia uratowała Solżenicyna sława na Zachodzie, ugruntowana przyznaniem mu Nagrody Nobla. Gościny udzielił Aleksandrowi Isajewiczowi Heinrich Böll, też noblista (z 1972 r.). Po uzyskaniu azylu politycznego Solżenicyn zamieszkał w Szwajcarii, a później w USA.

WSZWAJCARII Solżenicyn zgromadził materiały źródłowe do szkicu historycznoliterackiego „Lenin w Zurychu”. Jest to ważny utwór. Włączył go pisarz do przygotowywanej epopei historycznej „Krasnoje kołeso” („Czerwone koło”) w ten sposób, że jej sekwencje weszły do tej części epopei, która już się ukazała i ma wejść do tych części, które się ukaza.

— — — (Ustawa z dn. 31 VII 1981. O kontroli publikacji i widowisk, art. 2 pkt. 3 (Dz. U. nr 20, poz. 99; zm.: 1983. Dz. U. nr 44, poz. 204).

SOŁŻENICYN

(DOKOŃCZENIE)

Jan Trochimlak

prasowe i ośrodki dyspozycyjne. Oskarżono go o to, że kolaborował z wrogiem w czasie II wojny światowej, że był policjantem, że pracował w gestapo, że donosił do KGB, że jest kłamcą plującym we własne gniazdo, że oszukuje społeczeństwo radzieckie, pisząc o rozstrzelaniu wężów, o istnieniu jakiegos Archipelagu, że ma trzy auta (a nie miał żadnego i chodził pieszo). Grożono też wyrządzeniem krzywdy dzieciom Solżenicyna, zatruciem towarów w sklepie spożywczym, w którym robił zakupy, procesem sądowym za „Archipelag”. Zorganizowano przeciwko pisarzowi tzw. gniew ludu. Odezwali się szluzi zekowie; wystąpił przeciwko niemu nawet Wilkiewicz (lekarz robiący karierę naukową), skazany w 1945 roku w tej samej sprawie co Solżenicyn. Codziennie przez trzy tygodnie w godz. 8—24 (z wyjątkiem wolnych od pracy sobót i niedziel) trwał nieprzerwany terror telefoniczny. Do atakujących dołączył Związek Artystów. Anty-Solżenicynowski plakat zawieszono na ul. Gorkiego w Moskwie, a napis brzmiał: „Zdrajca Solżenicyn — główna antyradziecka siła zagranicy”.

2 lutego 1974 roku Solżenicyn napisał „Oświadczenie”, w którym oskarżył KGB o terror telefoniczny w stosunku do jego rodziny (dwóch kobiet i czworga dzieci). W „Oświadczeniu” poinformował też szczegółowo, że co został skazany w 1945 roku, z zakazem kryć je słowami: „Ja nigdy nie wzięliem, że prawda powróci do mego narodu. Wierzę w naszą siroinę, nasze duchowe oczyszczenie, w narodowe odrodzenie Rosji” (A. Solżenicyn, „Bodalsja...”, s. 619). Głównymi rywalami autorowi było zaledwie kilka, ale jawnych, a nie anonimowych. Dzień wcześniej przed oświadczeniem Solżenicyn kauderz Republiki Federalnej Niemiec Willy Brandt powiedział do młodzieży socjalistów, że „w Niemczech Zachodnich Solżenicyn mógłby bez przesady mianować i pracować” (ibid.).

Wrazie dochodzi do straszliwego Solżenicyna. Pisarz ubiera się w strój zaka. Znakiem krzyża tegna łode, a ona to samo czyni wobec niego. Prosi ją o straszenie dzieci. Funkcjonariusze KGB odwołują go do więzienia w Lefortowie. Oskarżony z artykułu 34 kodeksu karnego — na mocy decyzji Rady Najwyższej ZSRR, podpisanej przez Nikołaja Podgornego — Solżenicyn otrzymał najpryższą karę przewidzianą w prawodawstwie ZSRR: pozbawienie obywatelstwa radzieckiego i usunięcie z granic ZSRR (podobnie było mian z L. Trochimlak). Uwierają go nagać, aby nie jechał w stronę zaka. Musiał jeszcze napisać podanie o wypuszczenie z ZSRR jego rodziny. Na lotnisku Szczecinięwo robi znak krzyża i kłania się oddziałom niepi. Dzieje się to 13 lutego 1974 roku. Leci samolotem w towarzyswie siedmiu pracowników KGB i jednego lekarza. Ważę tylko, co wygląda jak symbol, skądś odciska z nieoficjalnego obiadu w Lefortowie. Nie wiedział, dokąd go odlatują. Sądził, że do Wiednia, ale po wyładowaniu na lotnisku okazało się, że był to Frankfurt nad Menem. Przed wyjściem z samolotu jeden z funkcjonariuszy KGB wręczył Solżenicynowi „prezent” — 500 DM.

„Żyt' nie po lży” („Nie żyć fałszem”) Solżenicyn złożył w kilku tajnych miejscach, a utwór miał być opublikowany w pierwszej dobie po ewentualnym aresztowaniu pisarza. Tekst „chodził” w „Samizdacie”, a za granicą po raz pierwszy wydrukował go „Daily Express” (Londyn, 1974). W Paryżu wydrukowało to wystąpienie wydawnictwo YMCA-Press, 1975. Solżenicyn wskazuje na „najbardziej dostępną klucz do naszej wolności: asobiste nieuczestnienie w fałszu [podkr. A. S.]. Niechby nawet kłamstwo

Można z nim walczyć, twierdzi Solżenicyn, nie uczestnicząc w kłamstwie. W związku z tym nie powinno się podpisywać żadnego fałszywego zdania, nie powinno się być fałszywym agitatorom, prezentować fałszu w malarstwie, rzeźbie, fotografii, nie powinno się przytaczać „przywódczych” cytatów, aby odnieść sukces, jeśli się ich nie podziela. Nie można brać udziału w demonstracji lub mitingu i nie można nieść transparentu, jeśli całkowicie nie podziela się treści wypisanego na nim hasła. Nie należy głosować za propozycją ani jawnie, ani tajnie, jeśli uważa się propozycję za niegodną lub wątpliwą. Nie wolno dać się zagonić na zebranie, na którym „zniekształcane” będzie omówienie problemu. Powinno się opuszczać zebranie, posiedzenie, wykład, spektakl, seans filmowy, gdy się słyszy fałsz, ideologiczną głupotę lub bezwstydną propagandę.

Jeszcze dosłownie kilka zdań powiem o cyklu historycznym do którego materiały Solżenicyn zaczął zbierać w 1937 roku. Pierwotnie miała to być wielka powieść o rewolucji rosyjskiej. Pracowa w pracy nad tym dziełem zaczął w 1963 roku (zabraną materiały pracowały wojnę i więzienie). W 1965 roku cykl przybrał nazwę „Krasnoje kołeso” („Czerwone koło”). Dotychczas wyszedł „Sierpień 1914”. Wieloseryjną epopeję historyczną „rozumiał [...] jako główny zamysł życia” („Postowie” do pierwszego rosyjskiego wyd.: „Awgust carymładcogo”, YMCA-Press, Paryż 1971, s. 572. Zob. również Emil Kogan: „Solżenoi stołp. Politiczeskaja psichologija A. Solżenicyna”, „Poiski”, Paryż 1983).

Podczas pobytu na Zachodzie Aleksander Isajewicz wyповідаł się wielokrotnie przed mikrofonami radia, kamerami telewizyjnymi, wobec prasy i studentów w różnych uniwersytetach. Jego sądy zawsze wywoływały żywą reakcję.

niesudzieleniu pomocy powstańczej Warszawie przez Armię Czerwoną w 1944 roku. Armia ta, twierdzi Solżenicyn, mogła bez problemu to uczynić, nie dopuścić do upadku powstania przeciw hitlerowskiemu okupantom i zapobiec zniszczeniu polskiej stolicy (zob. A. Solżenicyn: „Sobranije soczinenij. Statii i rieczii”, Vermont-Paryż 1981, t. 9, s. 67).

Na postawione Solżenicynowi przez „Kulturę” paryską pytanie dotyczące wyboru Karola Wajtyły na papieża, pisarz odpowiedział bardzo secednie i złożył Polakom gratulacje (zob. A. Solżenicyn: „Sobranije soczinenij. Statii i rieczii”). Należy też wspomnieć o ciepłym telegramie z 20 sierpnia 1980 roku, skierowanym do strajkujących robotników w Polsce (op. cit., t. 9, s. 393). Poza tym A. Solżenicyn wystosował 4 grudnia 1980 roku do opinii światowej „Oświadczenie” przestrzegające przed ewentualną interwencją w Polsce i jej następstwami (zob. A. Solżenicyn: op. cit., t. 9, s. 395).

Jeśli chodzi o druk utworów Solżenicyna w języku polskim, to wielkie zasługi w tej mierze ma kierowany przez Jerzego Giedroycia Instytut Literacki w Paryżu, który wydał — w ramach „Biblioteki Kultury” paryskiej — dzieła A. Solżenicyna i posiada od autora wszelkie prawa na polskojęzyczne wydanie jego twórczości. Niektóre opowiadania Solżenicyna były też drukowane w Polsce. Aktualnie znakowskie „Życie Literackie” drukuje „Arag pierwży”. — — — (Ustawa z dn. 31 VII 1981. O kontroli publikacji i widowisk, art. 2 pkt. 3 (Dz. U. nr 20, poz. 99; zm.: 1983. Dz. U. nr 44, poz. 204).

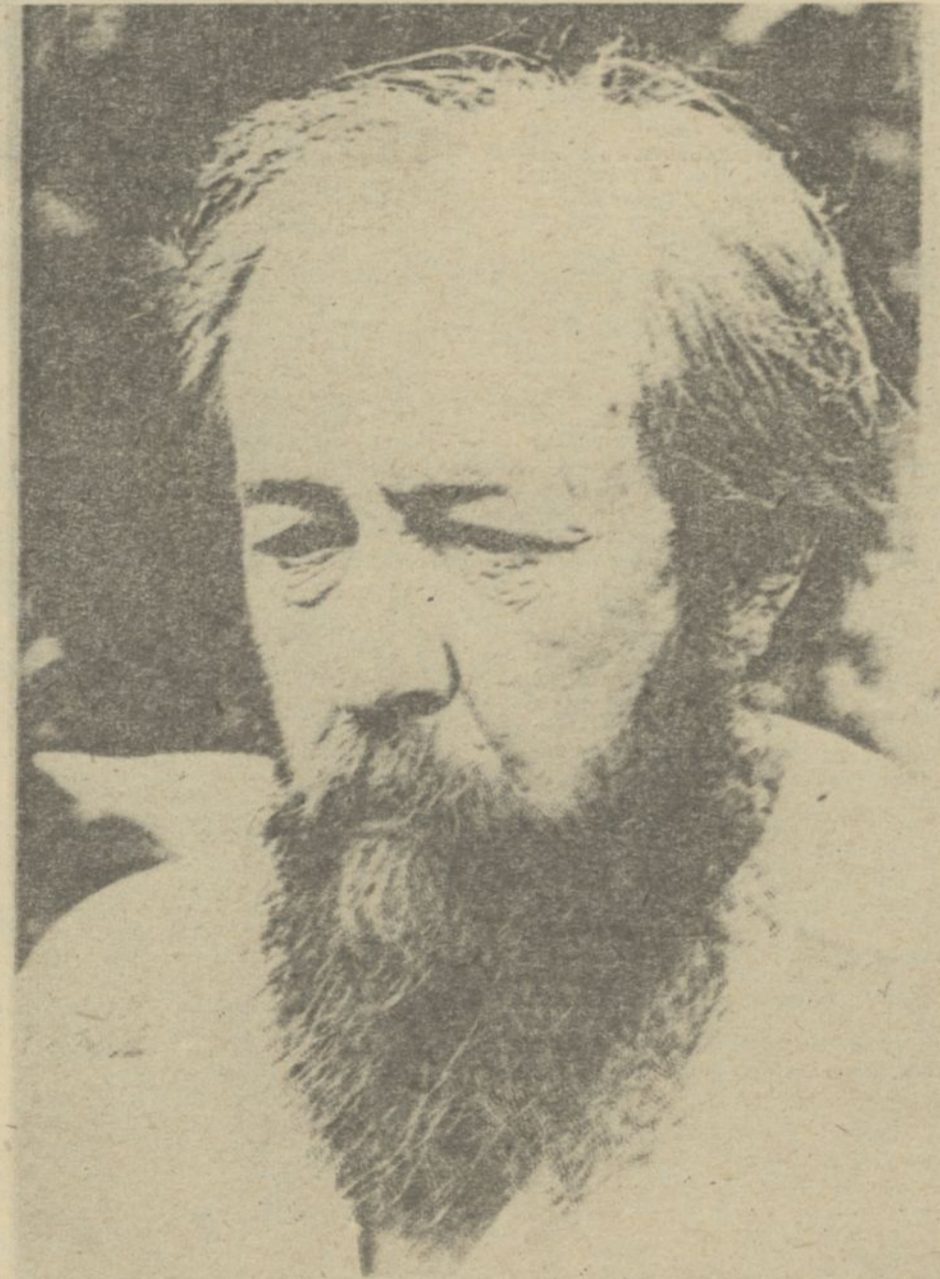
Te nieliczne i sporadyczne przedsięwzięcia wydawnicze nie podważają jednak twierdzenia, że Solżenicyn i jego twórczość traktuje się w Polsce z daleko idącą ostrożnością. I tak np. nie wymienia się go w polskich encyklopediach, a ponieważ jest on laureatem Nagrody Nobla, nie stanowi to zapewne wyniku przeoczenia.

JAK doszło do takiego traktowania Solżenicyna i jego twórczości? Przecież jego dzieła mogły zmieniać historię. Pisałem, że zresztą wprzegal je w swój rydwan polityczny N. S. Chruszczow. Czy mógł to uczynić L. Breżniew i jego ekipa? Otóż, moim zdaniem — nie. Breżniew nie nawiązywał do tradycji politycznych Chruszczowa. Uznał przy tym za wrogów tych wszystkich, których uważał za zwolenników Chruszczowa lub nastrojonych prochruszczewowsko. Najważniejsze jednak było to, że Breżniew nie nawiązywał do Chruszczowa, lecz do Stalina, wprowadzając pod szyldem tzw. normalizacji odkładający się stalinizm. Jak twierdzi sam Solżenicyn, znaczące i na wysokich stanowiskach osobistości ubolewały w owych czasach, że go nie zgładzono w 1945 roku. Coby Breżniewiści nie odeszli się tak, jak to uczynili, z Solżenicynem, nie można wykluczyć, że byłby on jednym ze zlikwidatorów Gorbaczowowskiej głośności i pieriestrojki. Jej główni rzesznicy nawiązują dziś do okresu wstępnego demokracji Chruszczowa (choć ten nie miał zbyt czystych rąk w okresie Stalina; jego podpisy widniały na obciążających dokumentach), a transzacja głośności w ZSRR idzie się z wypowiedzianymi Solżenicyna sprząd wielu, wielu lat.

Ostatnio w Związku Radzieckim wydrukowano, w kilku drugorzędnych piśmiech, „Żyt' nie po lży”. Redaktor naczelny „Nowego miaru”, Siemiej Pawłowicz Zetyn, opowiedział w wywiadzie dla zachodnich środków przekazu, że jest od lat w kontakcie z Solżenicynem, którego, jak powiedział, bardzo szanuje i że w jego osobistym archiwale znajdują się w 1989 roku obcięte fragmenty „Archipelagu Gulag”. To jest wspaniałe zjawisko, jak powiedziałem, niechże stanie się „odnotowaniem” (wyboru utworów w jednym tomie) jego dzieł w ZSRR.

Dalej można przewidzieć następujący scenariusz: drukuje się w ZSRR wszystko, co napisał Solżenicyn, co i hamowany wyrok Rady Najwyższej ZSRR (podpisany przez Nikołaja Podgornego) pozostawiający obywatelstwa Aleksandra Isajewicza, a on wtedy, być może, wróci do swej ukochanej Rosji. Na razie jednak nie zgodzi się na powołanie go w skład honorowego komitetu budowy pomnika ofiar stalinizmu w ZSRR.

Tymczasem Aleksander Isajewicz Solżenicyn, który niedawno obchodził 70-letnie urodziny, zmieszka wraz z rodziną na gościnnej ziemi amerykańskiej, w miasteczku Cavendish, w stanie Vermont, w USA.



Wszystko pokrzyło, choć fałsz radzi wszystkim, lecz w najmniejszej sprawie uprzedzi się, choć rzeczą nie przez mnie [podkr. A. S.]. Nasza droga w naszym świecie nie jest przetrzymywanie fałszu” (A. Solżenicyn, „Sobranije soczinenij”, Vermont-Paryż 1981, t. 9, s. 109—110).

Boimy się o głępie, boimy się, że będziemy osamotnieni. Nauczyliśmy się stawiać na lepsze życie — nie sprzeciwiamy się gwał-

PISZĄC w polskich czasopiśmie o tak wybitnym autorze rosyjskim, należy chyba potrącić temat: Aleksander Solżenicyn a Polska. W tym kontekście trzeba wspomnieć o polonikach i o Polakach w jego twórczości. Wspominałem już, że np. Władysław Gomułka wymieniony jest w „Archiepeliagu Gulag” i w „Archipelagu Gulag”. Jako były żołnierz, który uczestniczył w II wojnie światowej, Solżenicyn krytycznie wyrażał się o

JEDEN Z KATYNIA

GENERAŁ MIECZYŚLAW M. SMORAWIŃSKI (1893-1940)

Leszek Wiśniewski

W WYNIKU majowej ofensywy Tuchaczewskiego Armia Czerwona sforsowała Berezynę. Na odcinku obsadzonym przez „czwartaków” wytworzyła się krytyczna sytuacja. Tak przedstawia ją na dzień 22 maja 1920 roku autor monografii pułku, mjr Adam Lewicki: „W tym dniu pułk otrzymał wzmocnienie w postaci I baonu 64 pp. Dowództwo nad całą grupą obejmuje d-ca 4 pp Leg., dzielny i uparty w boju major Smorawiński. Stał się on duszą obrony, świecąc osobistym przykładem w miejscach najbardziej zagrożonych. Widząc krytyczne położenie oddziałów I i III baonów, stojących już dwa dni w ogniu i znacznie przeczodzonych, organizuje przy pomocy I baonu 64 pp i kompanii technicznej 4 pp nową linię obrony: Hucy — Luh — Budzieńczę, opierając skrzydła tego piętnastokilometrowego odcinka o rzeki Berezynę i Cnę”.

Na tej pozycji rozgorzał zacięty bój. Mimo odpierania natarć wroga i prowadzenia własnych przeciwuderzeń, „czwartacy” zmuszeni są do wycofania. Gdy jednak z czasem nieprzyjaciel począł zachowywać się biernie, Polacy przeszli do kontrofensywy, by w wyniku 12-dniowych, nieprzerwanych walk odebrać cały zdobyty obszar nieprzyjacielowi i wyrzucić go za Berezynę.

D-ca IV Brygady, płk Liber, dziękując żołnierzom za ich postawę, wymienia także dowódcę 4 pułku:

„Na specjalną uwagę zasługuje bohaterstwo dowódcy 4 pp Leg., major Smorawiński, który stale będąc w pierwszych szeregach, umiał skoordynować akcję podległych mu baonów i osobistym przykładem pociągnąć przemęczonych długotrwałą walką żołnierzy do brawurowych kontrataków”.

„Czwartacy” cenili sobie pułkową tradycję. Jeden z nich, Józef Herzog, wspominając obronę linii Berezyny, taką opinię przekazał po II wojnie Jerzemu Smorawińskiemu: „W epoce napoleońskiej pułk wstawił się obroną hiszpańskiej twierdzy Fuengirola; w czasie Powstania Listopadowego — obroną legendarnej Olszyny Grochowskiej, a w pierwszej wojnie światowej — obroną linii Berezyny. I niech pan zawsze pamięta o tym, że tę najpiękniejszą kartę bojową 4 pułk zapisał pod dowództwem Pańskiego Ojca”.

W PIERWSZYCH dniach lipca 1920 rusza druga wielka ofensywa Tuchaczewskiego, a 7 lipca pułk otrzymuje rozkaz opuszczenia pozycji. Smorawiński, już jako podpułkownik, dowodzi nim w czasie krwawych walk odwrotowych w rejonie Białegostoku i Malkin. 8 sierpnia obejmuje dowództwo IV Brygady Piechoty.

12 sierpnia armia Tuchaczewskiego rozpoczęła natarcie na Warszawę, lecz po trzydniowym krwawym boju na przedpolach stolicy została powstrzymana, a Polacy podjęli przeciwuderzenie znanymi Wkry i Wieprza. Zdecydowało ono o losach wojny. Rozpoczął się pościg za rozbitą i cofającą się Armią Czerwoną. Nie było w stanie zmienić losów bitwy spóźnione natarcie radzieckiego Frontu Południowo-Zachodniego z Konarmią Budionnego w składzie. Budionny, zamknięty w kleszczach 2 i 10 DP od pld. i grupy gen. St. Hallera od pld., poniósł klęskę pod Komarowem. Rozbite jednostki radzieckiej kawalerii przedzierały się następnie w kierunku na Hrubieszów — Zamość, IV BP Leg. Smorawińskiego znalazła się u szczytu klina, którym Budionny usiłował otworzyć sobie drogę odwrotu.

1 września 1920, w chwili natarcia, dowodzący dywizją gen. Żymierski przebywał w sztabie armii. Jego szef sztabu, płk Leon Miłkiewicz, tak wspomina („Wojna 1918—1920”) okoliczności rzezi IV Brygady: „Tonem mocno zdenerwowanym mówi przez telefon płk Smorawiński, dowódca IV Brygady Piechoty Leg.: «Bolszewicka kawaleria w dużej sile — dwie dywizje w konnym szyku, prawie zwartymi kolumnami zaatakowała moje stanowiska. Lawa bolszewicka jest już w pobliżu miejsca mojego postoju...» Tu urywa się rozmowa. Przez słuchawkę telefonu słychać tylko trzask karabinowych wystrzałów [...]”.

Dalej płk Miłkiewicz relacjonuje swoją rozmowę z rannym ppłk. Smorawińskim, przywiezionym chłopskim wózkiem przed siedzibę sztabu dywizji. „Ma obandażowaną całą głowę i prawą rękę; na bandażach zaciekle krwawi. Wygląda dość blade, ale uśmiecha się na mój widok. [...] »Psiakrew, zaskoczyli nas bolszewicy! — Kawaleria Budionnego. Przejechali się po nas w szyku konnym na wylot; szarżowali dwoma dywizjami pomimo oporu. [...] Zebrałem, co mogłem — kil-

kunastu szeregowych i paru oficerów. Broniliśmy się zawzięcie. Wynik — kilku zabitych, pociętych kozackimi szablami, wielu poranionych, a ja dostałem szablą po głowie i w prawą rękę...»”

Wspominając po latach wojenne przejścia, M. Smorawiński utrzymywał, że dwukrotnie — w 1915 roku nad Prutem i w 1920, gdy nacierał Budionny — był przekonany, że nikt z Polaków nie pozostanie przy życiu.

Po jakimś takim zaleczeniu piątej rany otrzymał krótki urlop, w trakcie którego zawiera w Kaliszu (6 października 1920) związek małżeński z Heleną Danielewicz. Niedługo po ślubie wraca na front, w rejon Lidy, gdzie zastaje go koniec działań wojennych.

Z czasem Mieczysław Smorawiński otrzymał za swe wojenne działania z 1920 r. Order Virtuti Militari i czterokrotnie Krzyż Walecznych. Tymczasem przywozi z wojny te najbardziej zaszczytne odznaczenia — bliźny po pięciokrotnym ranieniu. Wynosi też dolegliwości jelit po przebytej, w czasie odwrotu, infekcji.

Wkrótce po nastaniu zwycięskiego pokoju młode małżeństwo przenosi się do Suwałk, gdzie — wobec groźby konfliktu z Litwą — stacjonuje 2 Dywizja Piechoty. Z chwilą zniknięcia zagrożenia dywizja wraca do miejsca stałego postoju — Kielc, a Mieczysław Smorawiński po likwidacji brygad piechoty przechodzi na stanowisko d-cy piechoty dywizyjnej. W maju 1922 roku zostaje zweryfikowany w stopniu pułkownika. Ma lat 28. W Kielcach przychodzi na świat dzieci: córka Maria i syn Jerzy.

12 MAJA 1926 roku oddziały wierne marszałkowi Piłsudskiemu ruszają na Warszawę. „Samotnik z Sulejówka” podejmuje próbę powrotu na arenę polityczną II Rzeczypospolitej. Akcją zamachowców kieruje gen. Gustaw Orlicz-Dreszer, który wzywa armię do opowiedzenia się po stronie Komendanta i skierowania się ku stolicy. W garnizonach dochodzi do dramatycznych sytuacji, niektórzy dowódcy, rozdarci między przysięgą Rzeczypospolitej a wiernością Piłsudskiemu, odbierają sobie życie. Dawni oficerowie legionowi w zdecydowanej większości udzielają jednak poparcia Marszałkowi.

O swoich rozterkach w maju 1926 roku tak pisze gen. Jerzy Narbut-Luczyński, ówczesny dowódca 2 DP Leg. („U kresu wędrówki” — wspomnienia): „Wstrząśnięty do głębi otrzymanymi wiadomościami, pragnąłem skontrolować moje żołnierskie i obywatelskie sumienie, uporządkować tok myśli dla powzięcia decyzji. [...] Ostateczną decyzję uzależniałem od stanowiska najstarszych oficerów garnizonu kieleckiego, których rodowód ideowy, wywodzący się z II i III Brygady, wzbudzał niepewność. [...] Szczera rozmowa z płk. Smorawińskim, ówczesnym d-cą piechoty 2 DP Leg., uspokoiła moje obawy: zajął stanowisko służbisty, oświadczył, że spełni lojalnie każdy mój rozkaz. Zaniechałem wobec tego dalszych sondaży i postanowiłem działać rozkazem — biorąc na siebie pełną odpowiedzialność za przyłączenie się do buntu”.

Narbut-Luczyński sformułował oddział wydzielony z części 4 pp Leg., wzmocniony wybranymi pododdziałami pozostałych pułków i artylerią z płk. Smorawińskim jako dowódcą. O godz. 23.10, 13 maja transport ruszył w kierunku Warszawy, zegnany na dworcu w Kielcach przez delegację POW, „Strzelca” i setki zwolenników Piłsudskiego. Smorawińskiego — jako dowódcę — wiwatowano, na Narbuta-Luczyńskiego — co wspomina z gorącością — spadły posadzenia o kunktatorstwo. Oddział wydzielony 4 pp Leg. i płk Smorawiński nie zdążyli wejść do akcji. 14 maja prezydent Wojciechowski i rząd Witosa podali się do dymisji. Piłsudski przejął władzę. Dzień później wysłany oddział przybył z powrotem do Kielc.

NIE wiadomo, czy wypadki z maja 1926 r. miały wpływ na przebieg służby wojskowej płk. Smorawińskiego. 19 marca 1927 r. otrzymuje stanowisko dowódcy 6 DP w Krakowie, a 1 stycznia 1928 r. awans na generała brygady. Pod Wawelem przebywa do października 1932 roku, pełniąc jednocześnie obowiązki dowódcy tego dużego garnizonu. W tym czasie kontynuuje uzupełnianie wiedzy wojskowej na kolejnych kursach dla wyższych dowódców w Wyższej Szkole Wojennej w Warszawie. W 1930 r. wyjeżdża na specjalistyczne szkolenie do Paryża, gdzie zajęcia prowadzi m. in. słynny francuscy generałowie: Faury i Weygand.

WYPROWADZMY SIĘ DO BUSZU!

Dokończenie ze str. 1

jest Francja, która ma dwie trzecie energii z silowni jądrowych, choć ma na miejscu węgla, a zakup ropy nie sprawia trudności. Jakoś tam nie wybuchło, szampan nie jest jeszcze wylewany do kanalizacji jako skażony promieniotwórczo. Jeżeli ktoś twierdzi, że energetyka jądrowa jest droga, to niech się zastanowi, ile dopłacamy do wydobycia węgla.

„Wcale nie musimy budować elektrowni. Zadnych. Wystarczy stosować oszczędne technologie, domy z należytą izolacją cieplną itd.” W przekładzie na zwykły język oznacza to, że należy wyprowadzić się do innego kraju, bo w tym domy mamy, jakie mamy, i raczej ich nie zburzymy, bo mieszkańcy nam nie zbywa. Przemysłu innego też nie wystawimy w ciągu jednego pokolenia.

Energia będzie potrzebna. Na ropę naftową jeszcze długo nie będzie nas stać, energia wód polskich jest znikoma. Nie jesteśmy Szwecją, gdzie ludności mało, a na północy są rzeki o ogromnym przepływie wody. A i to przez jakiś czas osiedle Farsta w Sztokholmie było zasilane z reaktora ustawionego przy rynku, bodajże między domem towarowym a kinem. W RFN zieloni protestują przeciw elek-

rowniom jądrowym, ale tamte produkują energię elektryczną na eksport, nie są wcale koniecznością warunkującą działanie zachodniemieckiej gospodarki.

Nie jestem wcale entuzjastą elektrowni jądrowych, wolałbym, żeby ich nie było. Jestem świadom niebezpieczeństw, ale innego wyjścia nie ma i jeszcze długo nie będzie. Synteza jądrowa w szklance wody nie została dotąd potwierdzona w żadnym uznanym ośrodku naukowym i na baterijkę kieszonkową z deuterem nie ma co liczyć.

Co jakiś czas ktoś w tym kraju puszcza w obieg hiobowe wieści o nowych awariach, skażeniach. W tym roku kraj obiegła plotka o awarii elektrowni w Czechosłowacji, o wielkim poziomie aktywności naniesionej do Polski. W moim zakładzie urywały się telefony, dziesiątki ludzi dzwoniły z miasta. Nie stało się nic, żadnego podwyższenia aktywności powietrza, gleby itd. ponad naturalny poziom nie stwierdzono.

W ubiegłym roku było to samo. Ludzie dzwoniły, że aktywność powietrza wzrosła 50-krotnie powyżej tła, o czym wiadomo im było „z całkowicie wiarygodnego źródła”. Pięćdziesięciokrotnie to znaczy kilka razy więcej, niż było po awarii czarnobylskiej. Spraw-

dziiliśmy dokładnie: nic, tło było normalne.

Przed kilku laty puszczone w obieg wiadomości, że w Zatoce Gdańskiej zatonał radziecki okręt podwodny i nastąpiło ogromne skażenie wody. Znaliśmy wręcz błagali mnie, żebym nie jechał nad morze: „Woda jest tak aktywna, że gdy pies mego kolegi wszedł do niej, od razu z niego mięso odpadło”. Wakacje spędziłem w Stegnie. Owszem, Zatoła Gdańska jest pełna resztek ropy, fekalii, ścieków chemicznych, ale nie radioaktywności. Inna wiadomość tego typu: „W rzeszowskim spadł samolot z bombą jądrową na pokładzie”.

Rozumiem ludzi, którzy z takich czy innych powodów (np. niedoinformowania) czują się zagrożeni promieniowaniem i demonstrują, żądają dla siebie większego bezpieczeństwa. Ale ktoś, kto świadomie puszcza w obieg fałszywe wiadomości, na które społeczeństwa jest bardzo wrażliwe i reaguje w sposób paniczny, jest zwyczajnym łobuzem.

W IĘKSZYM niebezpieczeństwem niż awaria elektrowni jądrowej może być potęgą Urzędów, które wszystko wiedzą lepiej. Gorsza niż Czarnobyl może być próba zbagatelizowania sprawy, udawania, że się nic nie stało (wszyscy pamiętamy zdjęcia „amatorskie”, które obiegły naszą pra-

se, a które przedstawiały nietknięty blok elektrowni). Zaraz po dniach maksymalnej emisji radioaktywności można było urządzić wysięg kolarski kilkadziesiąt km od miejsca awarii. W Krakowie przebadano spodnie jednego z dziennikarzy sportowych, towarzyszących wyścigowi; postugując się jedną parą portek (i to już po ich wypraniu), można było sporządzić pod ręcznikowy wykres rozkładu produktów rozszczepienia uranu zupełnie dobrej jakości.

Kilka dni po awarii udzieliłem wypowiedzi dla prasy w tonie bardzo ostrożnym i raczej uspokajającym. Wypowiedź nie ukazała się. Przypuszczam, że Urząd do Cedzenia Informacji był niezadowolony, że wymienilem imię izotopy promieniotwórcze niż gazowe i łatwotłone (jod, ksenon). Prasa nie wykraczała wówczas poza jod, co miało sugerować, że coś się wprawdzie rozhermetyzowało, ale samo paliwo jądrowe nie wydostało się z reaktora. Naiwność cenzorów, że można ukryć coś, co wyfrunęło daleko poza obszar ich władzy, jest zastanawiająca, aktywność dotarła przecież do Szwecji, do Bawarii, Szkocji, coś tam nawet doleciało do Japonii.

Do porządnej identyfikacji izotopów, a tym samym określenia rodzaju awarii, potrzebna jest aparatura wysokiej klasy: detektory półprzewodnikowe, analizatory wielokanałowe. Aparatura taka znajduje się w wielu uniwersyteckich instytutach fizyki ze specjalizacją jądrową. Tymczasem po Czarnobylu nie zwrócono się do nich o pomoc: ani do fizyków UW, ani UJ, ani lubelskich. W Lublinie najlepszy

Dowodzenie dywizją krakowską cenił sobie gen. Smorawiński najbardziej i wspominał najchętniej. Ciepłe wspomnienia przechowywał również o nim podkomendni. Wylania się z nich obraz „służbisty”, dowódcy twardego, lecz taktownego, o ujmującym i bezpośrednim stosunku do podkomendnych. O tym, że nawet w czasie umłopu prywatnie nie czuł się zwolniony z dbania o dobre imię wojska, świadczy pewne zdarzenie. Otóż w czasie pobytu u rodziny w Turku gen. Smorawiński, przechadzając się w cywilnym ubraniu, z siostrą, ulicami miasta, zauważył oficera, który niedbale czy też nieregularnie oddał honory salutującemu żołnierzowi. General prze-

Wodzinowski, zresztą podkomendny Smorawińskiego, ofiarował mu jako osobisty prezent płótno olejne z dedykacją.

Trudno dziś powiedzieć, czym kierowano się, odwołując gen. Smorawińskiego z jednostki liniowej. Jest oczywiste, że gdy dowódca pozna podkomendnych, wyszkoli i żyje się z nimi, zyskując wzajemne zaufanie, musi myśleć z żalem o przejściu do innych zadań. Toteż generał Smorawiński, uważając, że nadaje się tylko do linii, poprosił o rozmowę z Marszałkiem Piłsudskim. Wrócił z niej oczarowany jego osobowością, ale bez upragnionego odwołania decyzji. Przy-

Smorawińskiego, okazały się nadzwyczaj trudne do realizacji, niekiedy wręcz niemożliwe do wykonania. Na terenie korpusu mobilizowały się nadal jednostki 3 DP Leg. i 39 DP Rez., a w licznych ośrodkach zapasowych mobilizowano bataliony marszowe i improwizowano nowe jednostki i służby. Z różnych stron kraju napływały masy żołnierzy i cywilów. Wielkim problemem było wyżywienie tych ludzi, ich umundurowanie i uzbrojenie, a także transport zmobilizowanych jednostek na miejsce przeznaczenia. Już od trzeciego-czwartego dnia września zaczęły spływać z zachodu rozbite na lewym brzegu Wisły jednostki.

„3 września — pisał Ludwik Głowacki w »Działaniach wojennych na Lubelszczyźnie w 1939 roku« — minister spraw wojskowych zlecił dowódcy OK II zorganizować obronę mostów i przejść na Wiśle w granicach Dęblin włącznie — Sandomierz włącznie. W następnych dniach zadanie to przejęła nowo utworzona Armia »Lublin«. Oprócz tego gen. Smorawiński był od 6 września delegatem kwatremistrzowskim Naczelnego Wodza i miał zapewnić zaopatrzenie i ewakuację w armiach »Lublin«, »Łódź« i »Prusy«. Nie było to zadanie łatwe, gdyż trzeba było kierować transporty w głąb obszaru za Wisłą i pod prąd masy uchodźców i ewakuujących się jednostek.

W związku z postępiami Niemców, następnego dnia zadania te przejął utworzona w tym celu Armia »Lublin«. Jej dowódca, gen. dyw. Tadeusz Piskor, wraz z kilku ludźmi mającymi stanowić załogę sztabu, przyjeżdża dwoma samochodami do Lublina (4 września). Resztę sztabu tworzy z oficerów OK II, uszczuplając i tak o wiele za mało, w stosunku do zadań, skład lubelskiego korpusu. Pomimo improwizowanych warunków stosunki obu generałów układają się dobrze. Gen. Piskor w meldunku do Naczelnego Wodza tak ocenia pracę gen. Smorawińskiego: »Od gen. Smorawińskiego już więcej wymagać nie można, dwoi się i troi«. Należy załogać, że za mało było w owym czasie dowodów równie korzystnej współpracy między dowódcami.

Ten okres wspomina syn generała, p. Jerzy Smorawiński:

„Tak się złożyło, że spałem w jednym pokoju z Ojcem od drugiego do dziewiątego września. Właściwie powinienem powiedzieć, że to ja spałem, a Ojciec miał w tym pokoju łóżko. Pamiętam: raz zbudziłem się szarym świtem i ujrzałem sylwetkę Ojca na tle okna. Przez moment siedział pochylony na łóżku. Zdziwiłem się, że tak wcześnie wstaje. Ale On położył się i po chwili usłyszałem Je-

go równy oddech: zasnął. A więc dopiero się kładł! Raz jeszcze tylko zauważyłem w tych dniach, że jego posciel była używana w ciągu nocy. A przecież nie mógł obywać się przez tyle dni bez snu. Gdzie więc spał? Nie wiem; trochę można wywnioskować z innego z Nim spotkania. W czasie jednej z nielicznych chwil, gdy wychodził ze swego gabinetu łączącego się z mieszkaniem, podeszła do Niego Matka, usiłując skłonić Go do krótkiego choćby odpoczynku. Machnął tylko ręką: »Zdrzemnąłem się trochę w samochodzie«. Matka, biegnąc obok, usiłowała dowiedzieć się czegoś o sytuacji. Doszły mnie pojedyncze słowa, urywki zdań: »...są rozbici... cofają się...«. Matka, wiedząc, jak bardzo Ojciec pragnął wtedy otrzymać samodzielne dowództwo z zadaniem operacyjnym, spytała jeszcze: »A co będzie z tobą?«. Odpowiedział: »Pójdę ja lub Kleberg«.

Rozkaz organizacji grupy operacyjnej otrzymał, jak wiadomo, dowódca DOK IX gen. Franciszek Kleberg. Samodzielna Grupa Operacyjna »Polesie« stoczyła później pod Kockiem ostatnią bitwę polskiego Września. Przyczyn tej decyzji personalnej należy szukać w położeniu obszarów obu DOK — II i IX.

Zadaniem tworzonej grupy operacyjnej było zabezpieczenie Frontu Północnego przed obejściem Niemców z północy, do czego nadawał się teren IX Okręgu Korpusu. Obszar OK Lublin, na którym Smorawiński gospodarzył od 1934 r. i który znał doskonale, był rejonem, gdzie spływały ewakuowane jednostki wojskowe, formacje pomocnicze, szpitale, administracja. Przydzielenie zatem gen. Smorawińskiemu wielkiej jednostki poza Lubelszczyzną, tj. odejście stąd r. cy OK II, nie mogło wchodzić w rachubę. Uzasadniony to bowiem przemieszczenie tej ogromnej masy ewakuowanych w kierunku przedmościa rumuńskiego.

Po ciężkim bombardowaniu Lublina w dniu 9 września, budynek DOK na pl. Litewskim został poważnie uszkodzony, a mieszkania Smorawińskich praktycznie nie nadawało się do zamieszkania. Pani Helena wraz z dziećmi przeniosła się najpierw do budynku KUL, do kuzynki, a następnie do majątku państwa Bernattów w Dysie-Bernattówce k. Lublina. Na krótko przed ich odjazdem generał przysłał samochód i sam przyjechał do KUL. »Gościł krótko, może kwadrans — wspomina Jerzy Smorawiński — było to pożegnanie zwyczajne, jak każde poprzednie. Któż mógł przypuszczać, że na zawsze?... Ojciec przytulił mnie i powiedział: »Pamiętaj, opiekuj się matką«. To ostatnie trochę mnie

Dokończenie na str. 11



Repr. Andrzej W. Pawluczuk

prosił siostrę, podszedł do oficera, wylegitymował się i ostro zwrócił mu uwagę na nieregularne zachowanie.

Musiał być w Krakowie dowódcą bardzo lubianym. Kiedy odchodził ze stanowiska, otrzymał prezenty daleko wykraczające wartością poza zwyczajowe upominki. Od oficerów 6 DP otrzymał duży obraz pędzla krakowskiego malarza Wincentego Wodzinowskiego z pamiątkową tabliczką oraz srebrną papierośnicę z dedykacją (m.in. płk. Monda). To właśnie ta papierośnica została znaleziona przy zwłokach w Katyniu i reprodukowana na fotografiach w prasie niemieckiej. Oficerowie garnizonu krakowskiego obdarowali go pozłacanym stojącym zegarem „Omega” z dedykacją: „Generałowi Mieczysławowi Smorawińskiemu — oficerowie garnizonu Kraków. 1927—32”. Wincenty

szło mu więc pracować w grodzieńskim DOK III, by po dwóch latach objąć dowództwo OK II w Lublinie. To przesunięcie z jednostki liniowej do administracji wojskowej stało się niewątpliwie jednym z głównych powodów, dla których generał nie dowodził we Wrześniu wielką jednostką. Umiał jednak wypełnić swój obowiązek wobec Ojczyzny na tym postępnym, na który został wyznaczony.

ŚWIT 1 września 1939 roku oznaczał dla świata początek wojny na nieznana dotąd skalę — wojny totalnej, błyskawicznej, miazdzącej postępy, a rozwój wydarzeń przerosł wyobraźnię sztabowców nie tylko w Warszawie. Teren lubelskiego Okręgu Korpusu, przewidywany na zaplecze walczących armii, już po kilku dniach stał się rejonem przyfrontowym. Zadania jego dowódcy, gen.

detektor miała wówczas Politechnika Lubelska, inny detektor germanowy i analizatory były w Zakładzie Fizyki Jądrowej Uniwersytetu. Urządzenia te pracowały przez cały czas, mogliśmy od razu stwierdzić, że dolatują do nas cząstki paliwa jądrowego, tylko to nikogo nie interesowało.

Przyjęto zasadę ogólnowojskową, że sprawy promieniowania jądrowego należą do chemii. W wojsku to jest słuszne, bo wojsko nie uniwersytet i fizyki nie uprawia (poza tym, jak już wojsko ma do czynienia z promieniowaniem, to dobrze wiadomo, skąd ono pochodzi i jaki jest jego skład). Chemicy mierzyli, jak najlepiej mogli, ale i na czym mogli. Rezultat taki, że oceniano zawartość cezu w środkach spożywczych licznikiem scyntylacyjnym, ustawiając tzw. okienko; określona w takich pomiarach zawartość cezu 137 była dziesięciokrotnie zawyżona w stosunku do rzeczywistości. Radiochemicy mogą mierzyć fachowo, ale trzeba ich odpowiednio wyposażać.

Z informacją jest dziś coraz lepiej, ale jeżeli bardziej od rzetelności i fachowości liczyć się będzie mało konkretne wyobrażenie o tym, co jest słuszne politycznie, zawsze będzie mogło dojść do dezinformacji.

CZARNOBYL był zdarzeniem wyjątkowym, groźnym i wstrząsającym światem, pobudził wyobraźnię. Wtedy trochę zapomniano, że gdy reaktor pracuje, nie wywołuje żadnego skażenia, nie dodaje otoczeniu żadnej dawki do tej, jaką otrzymujemy stale, od początku istnienia naszego gatunku. Są promienie kosmiczne, jest promieniotwórczość gleby, materiałów

budowlanych (tu też szerzono pogłoski, jakoby dzisiejsze materiały były promieniotwórcze bardziej, niż dawniejsze), całkiem pokaźna jest radioaktywność szkła potasowego. Były czasy, gdy nawet b. prymitywnymi metodami dała się zmierzyć promieniotwórczość wody na Stawinku. A jaka aktywna jest woda w Łądku-Zdroju (i dlatego jest on źródłem), a jak potrafi dmuchnąć promieniotwórczy radon w naszych kopalniach węgla, bywa, że znacznie powyżej dopuszczalnych norm!

Jak widać, promieniowanie bardziej grozi górnikowi niż sąsiadowi Żarnowca... Przed wojną używano barwników uranowych do malowania ceramiki: wazonów, flakonów — gdy przyłożyć do nich licznik Geigera, to ziarenko paliwa z Czarnobyla ledwo im dorówna. Na pewno do dziś stoją w wielu domach. Wskazówki zegarków jeszcze nie tak dawno pokrywano preparatami promieniotwórczymi, aby świeciły w nocy. Wszystko to jakoś akceptowaliśmy, świadomość niebezpieczeństwa jeszcze nie dotarła była do ludzi. Dziś wahadło poszło w drugą stronę.

Po Czarnobylu mierzyliśmy aktywność grzybów ze zbiorów 1986. Owszem, było nieco promieniotwórczego cezu, ale w grzybach z poprzednich lat było go tylko trzy razy mniej. Tyle cezu pozostało w glebie z lat, kiedy prowadzono próbną wybuchy jądrowe w atmosferze. Zaprzestano ich ponad 20 lat temu, czyli przez 40 lat stale jedliśmy radioaktywne grzybki, tylko nie zawsze o tym wiedzieliśmy.

Tzw. ekolodzy tłumaczą nam: „Jesteśmy narodem zdziwczalym, nikt nie

przestrzegł technologii, nikt nie traktuje poważnie swoich obowiązków, na budowach kradną cement i inne materiały, dlaczego mieliby nie kraść na budowie elektrowni jądrowej albo nie bimbać w czasie jej pracy?” Zgadza się, jesteśmy narodem zdziwczalym, za kwalifikacje karze się odpowiednio niską płacą, za solidność ludzkie karzą się sami, rezygnując z mniej godziwych źródeł dochodu.

Ale czy zdziwienie ma się objawić akurat tylko w energetyce jądrowej? A dlaczego mam mieć zaufanie do kilkusetmegawatowych turbin, które produkujemy i instalujemy, dlaczego mam uważać, że są zrobione z właściwego materiału, że nie mają pęknięć, że są należycie wyważone? Najdrobniejszy defekt i niedbałość obsługi wyrwałyby taką turbinę z łożysk i zmiotłaby całą elektrownię wraz z załogą. A czy na Solinę lub inne Myczkowce to dawano lepszy beton niż na Żarnowiec? Ciekawe, że dwie awarie: Czarnobyl i Three Mile Island wydarzyły się nie z powodu niedbałości, a z nadgorliwości personelu.

Mówi się, że wystarczy załogę w elektrowniach spalających węgiel kamienny i brunatny odpowiednio sprawne filtry i już będzie wszystko dobrze. W tym zdziwczalym kraju? Sprawa filtrów ciągnie się już ponad 30 lat i nieraz bywało, że fabryka ma filtry, ale ich nie zakłada albo nie włącza, byle sobie głowy nie zawracać, błogostanu nie przerywać. Ostatnio prasa doniosła, że w Bydgoszczy MPK ma filtry do oczyszczania spalin dymiących autobusów, ale ich nie zakłada i nie ma siły, która by je zmusiła do

tej prostej operacji, sprawę trzeba było skierować do sądu. Łatwiej chyba o kilku odpowiedzialnych, którzy nadzorowaliby elektrownie jądrowe, niż o tysiące do nadzorowania konwencjonalnej reszty.

Zgadza się z Mataczem ze „Sztandar Ludu”, który pisze, że wolałby, aby elektrownie jądrowe w Polsce budowali Niemcy, a obsługiwali Szwajcarzy, a mimo tego do protestów przeciw atomom się nie przyłączy, bo woli prąd niż brak prądu.

„Nie można dawać małpie zegarka” i ekolodzy podpowiadają, że wyjście jest jedno: zaniechać budowy elektrowni jądrowych. Przypomniany niedawno w telewizji Jacobowski mówił, że w każdej sytuacji są dwa wyjścia. Tu także: można pozostawić naród na poziomie małpy i zegarka nie dać. Ale może starać się o to, żeby ten naród przestał być małpą? Wtedy nie tylko nie zepsuje zegarka, ale potrafi zrobić lepszy.

Nie ma problemu energetyki jądrowej, jest tylko problem kultury. Kultury technicznej, politycznej i tej zwykłej, codziennej. Jeżeli jej nie będzie, nie mamy się co brać nie tylko za energię jądrową, ale i za budowanie pionowych ścian domów, gładkich nawierzchni szos, sprawnie działającego sprzętu domowego. Wyprowadzimy się do buszu!

Tomaz Goworek

Prof. dr hab. Tomaz Goworek jest kierownikiem Zakładu Fizyki Jądrowej Instytutu Fizyki UMCS.

LUBELSKA WIOSNA TEATRALNA

NADZIEJE, SPEŁNIENIA, ZAWODY

Magdalena Jankowska

LEON Schiller na I zjeździe reżyserów scen polskich (Warszawa, 1919 r.), mówiąc o ich roli w teatrze, wydzielił wśród reżyserów kategorię, którą za Gordonem Craighem nazwał Artystami Teatru. Termin ten objął następująco: „Artysta teatru to nie aktor, nie dekorator, nie muzyk, nie poeta i nie architekt — ale twórca dzieła teatralnego, obdarzony specyficzną zdolnością percepcji teatralnej, którego natchnieniem wyraża się w wizji teatralnej, a ucieleśniona w kształtach sztuki scenicznej, w kształtach takich, jakie mu jego twórca wola dyktuje”. Słowa te wydały się nie stracić do dzisiaj swojej aktualności, toteż z hastawieniem na objawienie kreatywnej siły twórców obejrzałam przedstawię, składający się na program IV Lubelskiej Wiosny Teatralnej.

Już z zapowiedzi wiadomo było, że została przywieziona przedstawienia znakomitych specjalistów od reżyserii, scenografii oraz muzyki i że zagrają aktorzy o głośnych nazwiskach. Przedmiotem oczekiwania stał się więc końcowy efekt, na który złożyły się miały wysiłki poszczególnych twórców. Dzisiaj nadszedł czas podsumowań.

Przyjmując wstępne kryterium, jeszcze nie wartościujące, a jedynie porządkujące, obejrzałam spektakle podzielić możemy na dwie grupy: duże, wieloobsadowe i kameralne, analizując minimalizowaną (chyba wybór mamienny dla obecnych problemów kultury) liczbę wykonawców. Do pierwszych zaliczają się: „Dzieci Arbatu”, „Samobójca”, „Białe małżeństwo”, „Wspomnienie o dwóch potężniakach” oraz „Mistrz i Małgorzata”.

PIERWSZY na LWT wystąpił Teatr Dramatyczny z Brześcia z „Dziećmi Arbatu” według powieści Anatolija Rybakowa. Historia życia młodych Rosjan w czasach stalinowskich i sylwetka Tyrana znane były polskiemu czytelnikowi, bowiem książka ta ukazała się już u nas i od razu zyskała wielkie zainteresowanie jako dowód nowej polityki wobec „białych planów historii”. Kiedy jednak ciekawość tych faktów została zaspokojona, stał nas było na refleksje, że powieści nie należy do wybitnych osiągnięć artystycznych. Spektakl na niej oparty nie wyrwał ponad tekst. Rozwiązania sceniczne należały do typowych, a chwilami wręcz banalnych wzorniczo. Takim wydał mi się plan retrospektywny, zrealizowany w ten sposób, że nad głową Stalina w świetle punktowego reflektora ukazywała się scena z jego młodości. Podobnie taniec, oznaczający potrzebę szczęścia osobistego nawet w czasach terroru i strachu.

ZNACZNIE bardziej interesująco wypadł Teatr Gęzy Gardonyiego z Egeru, który przyjechał z „Białym małżeństwem” T. Rózewicza, wyreżyserowanym tam przez A. Rozhina i uznanym za istotne wydarzenie sceniczne na Węgrzech. Pomysł reżyserski, wypróbowany najpierw w Lublinie, sprawdzony też w Egerze. Węgierskie przedstawienie było jednak intensywniejsze w atmosferze erotycznej. Wszeghogarniająca chęć znalazła tu wyraz w zwierzęco-mechanicznych ruchach splatających się zmysłowo ciał. Na tym tle dopiero nabral właściwych rozmiarów bunt Blanki, bunt wobec wyznaczonego losu i kondycji. „Dramat ciała” objawił się z całą pełnią. Duże znaczenie dla osiągniętego efektu miała tu dekoracja Andrzeja Markowicza oraz nieporównana rolę odegrało światło, istotnie zmieniające znaczenie obrazu budowanego na scenie.

KRAJOWYM reprezentantem inscenizacyjnego rozmachu był Teatr Współczesny z Wrocławia, wystawiający „Samobójcę” Nikołaja Erdżana w reżyserii Roberta Jarockiego. Przedstawienie okazało się być obmyślane bardzo szczegółowo — począwszy od malowanej kurtyny, przez rozłożenie akcentów kolorystycznych tak, by powstała scena w odmiennych tonacjach, na precyzyjnym ruchu scenicznym słońcowszy. Spektakl, rozwijając się, osiąga coraz to większą głębię tonu. Początkowo jest pełen skłoty, później oscyluje w kierunku dramatu zblizonego duchem do „Wesela” Wyspiańskiego, gdzie toczy się spór o zdolność przywodzenia duchowego narodowi, oraz w sposób boleśnie ironiczny podsumowuje rolę inteligencji. A Podsiakolnikow, zasypiając po pijanemu, wydaje się gubić „złoty róg” wdzięczności wszystkich podlegających go do samobójstwa. Związek między tymi utworami podkreśla też istotny udział muzyki i tańca w przebiegu akcji obydwu. Jednocześnie wrocławska realizacja dawała wyraz buntowi bohatera wobec życia pozbawionego możliwości samorealizacji, życia surowadzonego do podstawowych trosk bytowych i politycznych ograniczeń, które jedynie myśl o śmierci z własnej ręki może ubarwić i sprawić, że „nie przeżyje się go szepceniem”.

Podstawowym walorem popisu Jarockiego, równoważnym z klasą gry aktorskiej wrocławskiego zespołu, jest takie potraktowanie tekstu, by wydebił każdy z ukrytych w nim wymiarów: realistycznej obserwacji obyczajowej, nadbudowanej nad nią farsy i grotesku, pętającej całość spójnej historiozoficznej.

JESZCZE odleglejsze płaszczyzny kojarzy w uniwersalną wypowiedź o naturze człowieka i naturze świata Bulhakow w „Mistrzu i Małgorzacie”, a za nim próbuje to powtórzyć Andrzej Maria Marczewski na scenie Teatru Polskiego w Bydgoszczy. W tym celu z ogromną wiernością adaptował powieść. Zmieścili się więc wszystkie wątki: biblijny, fantastyczny i realistyczny. Reżyser dokonał bardzo wiele dla uzyskania Bulhakowskiego klimatu — rozbudował przestrzeń wzwyli, postaci pojawiały się i znikaly przy pomocy lin, wprowadził nagość: raz bezgrzeszną, raz zmysłową, ale nie dało to wszystko razem tej cudownie magicznej atmosfery. Wyjątek stanowi scena wielkiego balu u szatana — ciekawa choreograficznie, zwracająca uwagę niezwykłością kostiumów widzianych poprzez dymne opary. Przebiegała ponadto w specyficznym odrealnionym rytmie, skontrastowanym ze statycznością pierwszej części, który zapewne miał służyć wrazeniu dostojności i monumentalizacji postaci.

Opólnie bydgoska adaptacja jest próbą odczytania wielkiej powieści i przełożenia jej na język teatru, chociaż zadanie to niezwykle trudne. Czytelnik bowiem poznawana rzeczywistość może widzieć w kształtach zgodnych z ulubioną przez siebie estetyką. Widz zaś zdany jest na wybór inscenizatora. Dotyczy to, co prawda, wszystkich dzieł ilirackich, ale dla tej powieści ma znaczenie szczególne. Spojenie tak odległych czasów, postaci, systemów wartości w całość o niebagatelnej myśli filmowej wymaga skonstruowania świata ponadrealnego a jednocześnie ściśle mrawdziwego. Czy nie jest to abstrakcyjne wyidealizowanie jedynie przez ludzka imaginację?

WKATEGORII przedstawień wystawionych mniejszym nakładem sił i środków pierwszy prezentował się Teatr STU z Krakowa w „Kto się boi Wirginii Woolf?” Edwarda Franklina Albeego. Przygotował je, grający jedną z głównych ról, Mikołaj Grabowski. Rzytyka związanej z prezentacją sztuki tak popularnej nie trzeba chyba długo objaśniać — jest nią, wobec znajomości tekstu, koncentracja na walorach aktorstwa, no i porównywanie. A tu można wspomnieć nie tylko kreacje. W filmie Martę odwarzała Liz Taylor, Georga — Richard Burton. Natomiast w polskim teatrze — Antonina Gordon-Górecka i Jan Kreczmar. Początkowo Mikołaj Grabowski — (w dalszej części na scenie pojawili się jego brat Andrzej) z trudem wchodził w rolę Był „dęty”. Jego partnerka (Iwona Bielska) zaczęła lepiej i od pierwszych chwil stworzyła ciekawą, niejednoznaczna postać. Potrafiła być też wulgarna, a raz subtelna, stawiać się zmięszoną alkoholiką lub elegancją córki rektora, wzbudzać obrazę i współczucie. W niedługim jednak czasie pozamy wyrównały się, dzięki czemu widzowie mogli zapamiętać, że oglądają aktorów z Krakowa, tylko przyglądając się samo-masochistycznemu teatrówi uprawianemu przez bohaterów dramatu. Związek małżeński, którego jedną z ról było stać się zabiwanie i przyjmowanie ciast, a negatywne emocje zdają się tworzyć wielo-nierozwiązana. Ku podziwieniu widzów; akuchowanie też zmierzna parę młodych gości. Zakreślone cienie i obficie wystraszony balak, łoteł o odrazony efekt młodości dopięciaj klimat.

NASTĘPNA była „Sztuka komentacji” Karolinie Brandys, wyreżyserowana w Teatrze Polskim w Warszawie przez Andrzeja Kaspickiego, który wraz z Anną Samotną stworzył obadę aktorską. Ten kameralny dramat — mogłoby, na dobrą sprawę, stanowić, osam tytuł sugeruje, słuchowisko — w niespodziany sposób uświadomił po raz kolejny, jak ścisły spój tworzy historia polityczna naszego kraju z życiem osobistym Polaków. I nawet wyjazd na stałe z ojczyz-

ny nie wyzwala z owych uwikłań, przedłużając je w psychiczne konsekwencje, trwające aż po kres życia, a może wtedy właśnie najbardziej dokuczliwe. Siłę tych zależności wyraża scenografia utrzymana w szarościach, które mimo jednolitej gamy dzielą się na bliskie, przytulne, wełniane i potyskliwie, chłodne, nowoczesne. Takie właśnie są tkaniny grodzące przestrzeń „swojską”, gdzie jest miejsce dla polskich wartości — choćby tego fotela, na którym siedział sam Wyspiański — od świata obcego.

NACZEJ problem bycia Polakiem na obczyźnie i przyzwania „swojego” losu porusza „Lektura polskiego” napisana przez Annę Bojar-ską, a na deskach Teatru Powszechnego w Warszawie przygotowana przez Andrzeja Wajdę.

Sztuka ta opowiada o latach emigracji Tadeusza Kościuszki, gdyż bohater narodowy spod Raclawic — o czym mało kto wie — żył na obczyźnie po klęsce powstania jeszcze dwadzieścia trzy lata. Pomajemy go tu zupełnie od-brązowanego — w miejscu pomnikowego Naczelnika widzimy pragmatyka, który bez żenady ujawnia, że i krzywo-przyśniętym się nie brzydki, jeżeli tylko mogli, się dobrze przyczynić interesowi Polski i jej obywateli. Nie jest to więc ocea, jaką zwykło się eksponować a bojujących walki o nie-podległość. A na dodatek Kościusko nie chce żyć w patetycznej aurze bohatera, tylko ima się całkiem pospolitych zajęć, komentując w trakcie nich wobec córki gospodarzy swoją przeszłość, która w tej relacji nie składa się z samych blasków. Jest to zgola przeciwne polskiemu umiłowaniu wzniosłych symboli, jakie demonstrują przybywac z ojczyzny, chcący obejrzać miejsce zgonu wodza Insurekcji. Natomiast młoda, Szwajcarka (Joanna Szczepkowska), o innej mentalności, bezkompromisowa w ocenie historii i tworzącej ją ludzi, byłaby zdolna zobaczyć ją w racjonalnych kategoriach, gdyby nie uczucie, jakim zaczyna obdarzać Kościuszkę — cierpliwego nauczyciela i powiernika, Naczelnik u-dzielający lekcji i haftujący nakiewkę na Ue obrazu własnej świętości — „Panoramy raclawickiej” — oto przy-czynek do socjologii sławy.

O duście Szczepkowskiej — Łonnicki jeżeli już mówić, to z najwyższym uznaniem.

ROWNIEŻ maestria aktorska to co, co stanowi o zaletach „30 andlów”, powstałych w stołecznym Teatrze Dramatycznym. W skład-dance utworzonej z kilku sztuk Czechowa reżyser Tadeusz Pawłowicz ob-sadził Zbigniewa Zapasiewicza i Ewę Zukowską — by wymienić wiodące role. Zwłaszcza dla tego pierwszego ten komediodwo przyrządzony Czechow stał się okazją do zademonstrowania całej skali możliwości wcielania się w rozmaite typy.

Natomiast „Zapiski wędźenne kardynała Wyszyńskiego”, wystawione na bazie jego dziennika, dowiodły, jak mało podatnym na udratyzowanie tekstem poddały się Jan Machulski w Teatrze Ochoty. W efekcie adaptacji powstała rzecz ilustacyjna wobec autentycznych wydarzeń. Sam reżyser i zarazem twórca postaci Prymasa Ty-siącletnia stanął wobec pułapki zbudowania na scenie charyzmatycznej o-sobowości katolickiego intelektualisty i jednocześnie bliskiego widzom, niezmiernie pracowitego człowieka. Damskiego i pokornego zarazem. Wynik nie był porażający.

Spoglądając wstecz, powieściel te-cha, że ścisły teatr stoi wartościami, które same w sobie nie należą do spe-cyficznie teatralnych. Repertuar dyktowany jest popularnością autorów, postaci i wydarzeń, wyjętych na-że spod cenzury, w związku z nową poli-tyką narodów, które je wydały. Mo-żliwość wzięcia „na warsztat” zakana-nego niegdyś tekstu stanowi wielką pokusę, przez co Gępi traska o żółte listki. Naci ten użyte środki u-strażycielskich, choćby tylko po-wodrobowanie, widownię.

Te omyliki w polskim i różnicie sprawności aktorów stają niedłody na przeszkodzie stworzeniu wielkich inscenizacji, w których wyjątkowo składanki sztuki teatralnej łączone z komysłem lub w nastawieniu przez Artystów Teatru, dają dzieło spójne myślowo i estetycznie. Spełnia się wtedy najczystsze powinność wy-braniów Melpomeny, czego świadkami mogliśmy być również podczas IV Lubelskiej Wiosny Teatralnej.



„Dzieci Arbatu”

PUŁAWY były wspaniałe. W stwierdzeniu tym zawarte są dwie tezy; jedna, że Puławy mają wspaniałą przeszłość, a druga, że tę dawną wspaniałość trudno jest dzisiaj dostrzec. Pierwszą tezę rozwinę dalej, zaznaczając od drugiej, prowokacyjnej i od czasu zaznaczam — bardzo subiektywnej.

Z mojego punktu widzenia, całowicie interesującego się zabytkami, a nie przemysłem chemicznym czy problemami nawożenia, Puławy są miastem, przez które czasami trzeba przejechać. Gdy jedzie się z Lublina do Kazimierza, to o wiele ciekawsza jest droga przez Naleczów, a wtedy Puławy zostają z boku, natomiast gdy jedzie się do zamku w Janowie, wtedy trzeba przejechać przez most puławski.

Dlaczego jednak same Puławy nie są atrakcyjnym celem wyjazdów? Jest tam przecież między innymi pałac Czartoryskich, pałac Matryki, rozległy zabytkowy park, a w nim ciekawe budowle ogrodowe, także jak Domek Gotycki czy Świątynia Sybilli. Odpowiedź prosta — cały ten zabytkowy kompleks jest zagospodarowany przez Instytut Nawożenia i Gleboznawstwa i stanowi właściwie teren zamknięty.

Bardzo dobrze się dzieje, gdy zabytkowe obiekty, tak jak w tym przypadku, mają starannego i dbającego gospodarza, ponieważ to jednak za sobą określone konsekwencje. Większość pomieszczeń została zagospodarowana na biura i pracownie, więc wprowadzenie programu turystycznego i wielu przypadkowych osób musi być znacznie ograniczone. W sytuacji, gdy cały zabytkowy kompleks nie może służyć pokazaniu wspaniałej przeszłości, tą odpowiedzialną rolę muszą przejąć jego części. W Puławach do roli tej została przeznaczona Świątynia Sybilli i Domek Gotycki.

Tu jednak zaczyna się problem. Te niewielkie parkowe budowle są już od kilku lat praktycznie zamknięte. Istnieją dwie przyczyny takiego stanu rzeczy, obydwie właściwie obiektywne — kilkuletni remont i możliwości aktualnego gospodarza obiektów.

Nad remontem nie warto się rozwodzić, był bowiem konieczny i dobrze się stało, że pomału zbliża się do końca. Zasadniczym problemem jest natomiast sprawa gospodarza obydwu obiektów, a właściwie jego niewielkich możliwości. PTTK, bo o tej organizacji tu mowa, ma kilka niewątpliwych sukcesów w Puławach w postaci ogólnopolskich sesji naukowych i ciekawych wystaw okolicznościowych. Nie jest jednak w stanie finansowo, organizacyjnie, a przede wszystkim merytorycznie, przyjąć na siebie ciężaru pokazania — w formie stałej ekspozycji — całej bogatej historii i znaczenia ośrodka puławskiego. Małe, sezonowe wystawy nie przyciągną wielu osób, potrzebny jest mecenat placówki silnej, wyspecjalizowanej i z dużymi możliwościami.

Takie warunki z pewnością spełniają krakowskie Zbiory Czartoryskich, funkcjonujące jako oddział Muzeum Narodowego. Tak się szczęśliwie zło-

żyło, że prowadzone od kilku lat starania o bezpośredni mecenat Muzeum Narodowego nad Domkiem Gotyckim i Świątynią Sybilli mają pewne szanse realizacji. Sama bowiem koncepcja takiej opieki, przeniesienia tu nawet części zbiorów, jest w pełni uzasadniona. Puławy mają wręcz prawo do tego.

Znaczące miejsce w historii kultury polskiej zajęły Puławy właśnie dzięki rodzinie Czartoryskich. Nie byli oni pierwszymi właścicielami Puław, pierwszy pałac powstał tu według planów Tyllmana z Gernerem dla marszałka

po nich droga, i choć te pamiątki smutek wzbudzają, przecież jakąś ulgę widok ich nam sprawia. Te same uczucia wbudzić powinny te szczytki, te pamiątki polskie, które nam jeszcze zostają.

Gromadzone przez Izabelę zbiory miały też pełnić funkcję dydaktyczną, a więc musiały być gromadzone w odpowiednim do ekspozycji miejscu. Dlatego też powstała idea wybudowania w parku nowych pawilonów — Świątyni Sybilli, zwanej pierwotnie Świątynią Pamięci, i nieco później Domku Gotyckiego.

PAMIĄTKI POLSKIE, PUŁAWSKIE

Bogusław Szmygła

Lubomirskiego jeszcze w latach siedemdziesiątych XVII wieku, jednak dopiero Czartoryscy sprawili, że miejscowość ta nabrała ogólnopolskiego znaczenia.

Po trzecim rozbiornie Polski, po upadku powstania kościuszkowskiego, znaczna część ludzi skupionych przy dworze Stanisława Augusta rozjechała się do swoich majątków. Upadek państwowości, a tym samym upadek stolicy, spowodował, że ciężar działalności przede wszystkim kulturalnej, przeniósł się na prowincję.

Ta nowa sytuacja nie zaskoczyła Czartoryskich, którzy jeszcze w latach osiemdziesiątych odsunęli się od dworu warszawskiego. Do ambitnego planu stworzenia w swym majątku drugiego po stolicy ośrodka kulturalnego Czartoryscy dodali teraz akcenty narodowe.

Izabela z Flemigów Czartoryska, która była animatorką tych wszystkich działań, doskonale odnalazła się w nowej roli. Z kosmopolitycznej damy bawiącej się sielankami przelotowo się w „Małą Spartanke”. Jej zasadniczym celem stało się podtrzymywanie ducha narodowego i kultywowanie idei walki o niepodległość. Jej bohaterami byli nasi wielcy królowie, walczący hetmani i współcześni wodzowie z księciem Józefem Poniatowskim i Tadeuszem Kościuszką na czele.

Po powrocie w 1796 r. do zdevastowanego dwa lata wcześniej pałacu Izabela postanowiła osłabiecnie poświęcić się ratowaniu i gromadzeniu polskich pamiątek. Napisała o tym później: „kiedy Polska istnieje przestała, przyszła mi pierwszy raz ta myśl, żeby zbierać pamiątki polskie, które potomności powierzam. Każdy zdaje się człowiek, straciwszy matkę, dzieci, czyli przyjaciela, każda zdaje się rzecz

Jako pierwsza powstała w 1801 r. Świątynia Sybilli. Jej klasycystyczna forma nie była przypadkiem. Nawiązywała bowiem do obowiązujących jeszcze tradycji stylowych, a ponadto miała pewien podtekst treściowy. Wzorowana na Świątyni Sybilli w Tivoli, wykorzystywała antyczną legendę, by przyszłość powierzyć optymistycznej wróżce Sybilli, a jednocześnie nawiązywała do greckiej jeszcze idei skarba narodowego, przypominała starożytną wiarę w mistyczną wróżeczą moc państwowych znaków, symboli i dokumentów. Podteksty te pokrywały się w pełni z gromadzonymi pamiątkami. Chorągiew zdobyta przez Sobieskiego na Turkach, chorągiew carów Szujskich zdobyta przez Zółkiewskiego, szaty wielkich wodzów i ich herbawy, pieczęcie, rękopisy, księgi, monety. Te zbiory w pełni pozwalały na określenie ich później mianem miejsca trofealnego.

Rozrastająca się kolekcja wymagała wciąż jednak nowych pomieszczeń. W 1809 r. powstał więc obok Domku Gotyckiego. Odmienny, w eklektycznej formie, wykorzystujący gotycki ostrołuk, obrazuje już ten pawilon zwycięstwo idei romantycznej w tamtym czasie. Typowo romantyczna jest też liczba jak i dobór eksponatów. Wydany w 1828 r. katalog „Poczet pamiątek zachowanych w Domku Gotyckim” zawiera 1531 pozycji, a część z nich oznacza całe kolekcje przedmiotów. Są tam, obok znanych dzieł sztuki (obrazy Leonarda, Rafaela, Rembrandta), rzeczy z pozoru błahe: zasuszone ławy pamiątkowe kamienie, drobiazgi. Nadal jednak w tych zbiorach dominuje program narodowy. Spośród dziewięciu solan Domku Gotyckiego aż siedem nawiązuje tematyką do naszej historii i czasów świetności.

Obydwie budowle wraz ze zbiorami tworzyły więc pewną całość. Były konkretną realizacją pomysłu ochrony i gromadzenia symbolicznych dla narodu pamiątek, narodu, który nie miał państwa i nie mógł inaczej ich chronić.

Działalność Czartoryskiej i znaczenie Puław, obrastających z wojna w legendę Polskich Aten, dostrzegali już współcześni. Z entuzjazmem pisał o tym Julian Ursyn Niemcewicz i Jan Paweł Wronisz. Wśród dwudziestu rycin w wydanym w 1806 r. przez Zygmunta Vogla „Zbiorniku widoków sławniejszych pamiątek narodowych” aż dwie przedstawiały właśnie Puławy. Świątynia Puław trwała do Powstania Listopadowego. Za udział księcia Adama w powstaniu dobra zostały skonfiskowane, a pałac opustoszał na dziewięć lat. Zbiory, choć rozproszone, ocalały na szczęście w ponad 90 procentach. Nie wróciły one już nigdy do pawilonów w puławskim parku, które choć zdevastowane, jednak przetrwały. Zbiory stopniowo wywieziono do galicyjskich dóbr Czartoryskich, a potem do Hotelu Lambert w Paryżu. Do Polski powróciły dopiero w drugiej połowie XIX wieku, ale już do Krakowa. Tu bowiem mogły być udostępnione. W 1876 r. otwarto pierwsze sale muzealne dla publiczności. Tam też do dzisiaj zgromadzone jest to wszystko, co ocalało z kolekcji Izabeli Czartoryskiej.

O powrocie zbiorów do Puław nikt dzisiaj oczywiście nie myśli. Mają one już w Krakowie ponad stoletnią tradycję, zresztą pod każdym względem nie wydaje się ów powrót celowy. W pełni uzasadniony jest natomiast taki pomysł zagospodarowania Świątyni Sybilli i Domku Gotyckiego, który nawiązałby do ich pierwotnego przeznaczenia. Do tego potrzeba jest bezpośrednia pomoc z Krakowa. Chodzi tu zresztą nie tylko o same zbiory, ale nawet chyba bardziej o utrwalenie idei pierwszego polskiego muzeum. Tak bowiem należy te budowle traktować. Pierwsze publicznie udostępnione kolekcje — Luwr, Muzeum Brytyjskie, Ermitaż — powstały około połowy XVIII wieku. Jednak na gruncie polskim to właśnie puławskie pawilony były pierwszymi, zbudowanymi z myślą o gromadzeniu zbiorów, i to zbiorów z tak szczytnym programem wiodącym.

Trzeba mieć nadzieję, że propagatorowi idei otwarcia ekspozycji muzealnej w Puławach, prof. Z. Żygułskiemu, przy pomocy dyr. J. Żurawskiego z Muzeum Nadwiślańskiego uda się ten pomysł doprowadzić do szczęśliwego finału. Będzie to korzystne dla nas wszystkich, a na pewno również dla Puław. Jest to bowiem szansa na zdobycie ciekawych eksponatów, na pokazanie ich w sposób nie zdeterminowany przez prowincjonalne środki i możliwości. Jest to wreszcie kulturalne dowartościowanie średniego miasta poprzez czytelne pokazanie własnej, wspaniałej przeszłości. Więcej osób odwiedzi wtedy z pewnością Puławy, a niektórym będzie trudniej głupio żartować, że przez Puławy jedzie się do Kazimierza.

GENERAL MIECZYSLAW M. SMORAWIŃSKI

Dokończenie ze str. 8—9

zdziwio, bo Ojciec nie zwykł był używać wielkich słów. W chwili później wyjeżdżaliśmy nocą przez płonący Lublin do Dysa.

13 września Helena Smorawińska poprosiła jednego z młodych ludzi z Dysa, który wybierał się do Lublina, aby spróbował dotrzeć do jej męża. Miał szczęście: zjawił się w momencie, gdy generał był przed budynkiem DOK. Dzięki temu przyniósł od niego list skreślony na kawałku zwykłego papieru:

„Najdroższe kochanie moje! Dzięki za wiadomości. Jurka trzymaj przy sobie, nie daj się zastąpić. Siedzimy tutaj dalej. Sytuacja nie jest ogólnie bez zastrzeżeń i to poważnych. Ścisłkam Cię, całuję Was najserdeczniej gorąco, mocno, oraz polecam Bogu. Twój Mieczek”

List nosi datę 13 września, godz. 7.00.

SYTUACJA była rzeczywiście poważna. Lubelszczyzna była zalewana przez żołnierzy i uchodźców, spływających koncentrycznie z trzech kierunków. W tej ciżbie ludzkiej, krzyżujące się rozkazy d-cy OK II, d-cy Armii „Lublin” i „Prusy” powodowały trudny do opanowania

chaos w rozkazodawstwie, a ludzkie masy utrudniały posunięcia. Główna rola w opanowaniu sytuacji przypadła gen. Smorawińskiemu. Do 12 września zaczęły się rysować pewne pozytywne wyniki jego działań. W punktach zbiornych udało się zorganizować wyżywienie, które było sprawą podstawową dla odtworzenia wielkich jednostek. Dotyczywało się to głównie w rejonie Chełma. Generał wyznaczył na dowódcę tego rejonu płk. Szalewicz, który 12 września zameldował się w DOK II. Zaczęła też funkcjonować zapora policyjna na linii górnego Wieprza.

13 września, wobec bezpośredniego zagrożenia, gen. Piskor otrzymał rozkaz naczelnego dowództwa zorganizowania obrony Lublina w bezpośrednim oparciu o zabudowę miasta. Piskor znał dobrze postępy wroga, co wynikało z jego jużogramu wysłanego o godz. 17 do Naczelnego Wodza: „Npl rozbił załogę Annopola i Solca, godz. 15 osiągnął Opole. Droga na Lublin ma otwartą. W Zawichoście npl buduje most. Zarządzą przeciwstawienie ostatniemu baonem zmotoryzowanym. Lublina nie ma czym bronić. Piskor, gen. dyw.”

Tegoż dnia dowiedziano się, że

Niemcy są już w Zamościu. Gen. Smorawiński rozkazał tworzyć załogę do obrony Lublina z przeciągających rozbiłków. Przysposobienia Wojskowego i „Strzelca” oraz zabarykadować wyloty do miasta. Ta inicjatywa miała mieć w najbliższych dniach duże znaczenie. 14 września zorganizował się Komitet Obrony Lublina, a bohaterzy obrony stworzyli w improvisowanych warunkach, w czasie trzdzińskich walk w mieście, przesłone dla odwarzanych w rejonie Chełma wielkich jednostek.

W nocy z 13 na 14 września dowódca OK II otrzymał zarządzenie Naczelnego Wodza, nakładające nań zadania zaopatrywania i ewakuacji armii: „Kraków”, „Lublin”, „Modlin”, oraz wschodniego skrzydła Frontu Północnego gen. Dęba-Biernackiego. W tym celu należało utworzyć ekspozyturę stacji rozdzielczej DOK w Kowlu. Do utworzenia tej zaopatrzeniowej komórki miał Smorawiński użyć oficerów z OK II lub ewakuowanych z innych Okręgów Kompusów. Końcowy fragment rozkazu brzmiał: „Pan Generał pozostaje w Lublinie do czasu utrzymania rozkazu NW względnie do chwili, gdy sytuacja uniemożliwi dalszą pracę stacji rozdzielczej w Lub-

linie. Nowe miejsce postoju należy przewidywać w Kowlu z ewentualnym czasowym zatrzymaniem się w Chełmie”.

Autorzy „Polskich Sił Zbrojnych” dodają do tego rozkazu następujący komentarz: „Jak się zdaje, dowódca OK II uznał, że wykonywanie istotnie ogromnych zadań, nałożonych na niego powyższym rozkazem, nie da się przeprowadzić z Lublina, który już przygotowywał się do bezpośredniej obrony i stawał się frontem. Jeszcze tego samego dnia gen. Smorawiński udał się przez Włodzimierz do Kowla, gdzie z całą energią zabrał się do organizacji nowej stacji rozdzielczej” („Polskie Siły Zbrojne”, t. I, cz. 3, Londyn).

Decyzja ta została uprzednio uzgodniona z gen. Piskorem, który zszedł wraz ze sztabem Armii „Lublin” o godzinę przed godziną 12.

W dniach 14—15 września gen. Smorawiński przebywał w Kowlu, gdzie organizuje stację redukcyjną, dokonuje inspekcji w terenie, kieruje ewakuacją jednostek w kierunku przedmościa rumuńskiego z rejonu Łucka. Tam też dociera do niego wiadomość o agresji radzieckiej na Polskę w dniu 17 września.

(Koniec odcinka 2. —

dokończenie nastąpi)

Leszek Wiśniewski

Dziennik wojenny Wacława Flisińskiego (autor urodził się w 1908 r. w Annopolu, zmarł przed kilku laty w Nowym Jorku), będąc w znacznej części dokumentem z epoki stalinowskich łagrów, jest zarazem barwną opowieścią o polskich żołnierskich drogach w czasie II wojny światowej.

Stanowi on jakby dopełnienie fresku wojennego autorstwa lublinianina, dr. Adama Majewskiego — „Wojna, ludzie i medycyna” — owych wspomnień pisanych z punktu widzenia lekarza chirurga, oficera 3 Dywizji Strzelców Karpackich. U Flisińskiego natomiast mamy relację podoficera, kancelisty w polowym szpitalu 5 Kresowej Dywizji Piechoty — 2 Korpusu Polskiego.

Podobnie jak Adam Majewski, wywodzący się również z Lubelszczyzny kapral, a następnie sierżant Wacław Flisiński (w życiu cywilnym — sekretarz Urzędu Gminnego w Annopolu) zamieszcza w swym dzienniku mnóstwo odniesień do rodzinnego regionu. Pisze też o ludziach z lubelskich wsi, miasteczek i miast, których spotkał w czasie długiej wędrówki — od łagrów położonej na północy ZSRR republiki Komi aż po winnice słonecznej Italii.

M. D.

OD ŁAGRÓW KOMI DO WINNIC ITALII

Wacław Flisiński *Córce mojej poświęcam*

Działal-Abad,
3 maja 1942 r.

Dzisiaj nasz Teatr Żołnierski „Czołówka” 5 DP wystawił w Działal-Abadzie, w ramach obchodów rocznicy 3 Maja, widowisko pt. „Noc w Tatiszczewie”. Autorem widowiska jest porucznik X., a wyreżyserował je ppor. Zintel. Sztuka poświęcona jest życiu naszym w obozie tatiszczewskim w ubiegłym roku. Wykonano tylko jej fragment z powodu trudności technicznych.

Zespół teatralny 5 DP rekrutuje się z pierwszorzędnych wykonawców, zarówno oficerów, jak i szeregowych oraz ochotników z PSK. Po każdej uroczystości narodowej występuje on ze stosownym programem.

Teatr narodził się w Tatiszczewie. Jego siedzibą był gmach obozowego klubu, pięknie urządzonego przez naszych żołnierzy. Wnętrze sali zdobyły flagi narodowe, na ścianach wisiały rysunki i obrazy, a na frontowej ścianie — wielki Orzeł Biały. Na bocznych ścianach widniały tarcze z napisem: „5 DP”.

Ze sceny teatru wygłoszono wiele deklamacji, wypowiedziano mnóstwo okolicznościowych przemówień; wystawiono tu wiele sztuk. Teraz „Czołówka” jest nadal z nami, w słonecznym Działal-Abadzie.

Działal-Abad,
9 maja 1942 r.

Wczoraj wieczorem byłem na przedstawieniu „Nocy w Tatiszczewie”, zaprezentowanym na podmiejskich błoniach, dla stacjonujących tam oddziałów.

Scena znajdowała się na wolnym powietrzu, na podwyższeniu z darniny. Za kulisy służyły koce wojskowe, porozwieszane na dyszlach dwukolowych „biedek”. Z rozpoczęciem przedstawienia czekano aż do zapadnięcia ciemności. Wtedy na scenę rzucono przyćmione światła dwóch reflektorów. Na widowni zapanowała głęboka cisza...

Oto na scenie — fragment obozu w Tatiszczewie. Namioty. Wewnątrz namiotów — nikle światelka. Wszystko wygląda tak, jakby przeniesiono prawdziwy kawałek naszego dawnego obozu...

W pewnej chwili zza sceny słychać śpiew. Tak, to przecież pieśń — „Wszystkie nasze dzienne sprawy”, którą tam śpiewaliśmy podczas wieczornych apeli! Jedni tę pieśń już kończą, inni dopiero zaczynają. Całość pięknie zharmonizowana. Po zakończeniu modlitwy wieczornej trębacz zaczyna wygrywać Hejnał Mariacki z Krakowa... A tymczasem na scenie widać przechadzających się służbowych, czuwających, gdy inni już śpią. Teraz na scenę wypływają senne marzenia: nasi najbliżsi w Kraju...

W drugiej części widowiska pojawia się Polak w brytyjskim umundurowaniu bojowym i snuje opowieść o polskim żołnierzu, który po tragedii września 39 dostał się do Francji, a potem do Anglii, i — walcząc na froncie francuskim, libijskim, w Narviku i Tobruku — osiąga wspaniałe bojowe sukcesy. A teraz tworzące się wojsko polskie na Wschodzie ma do wykonania zadania zmierzające do zniszczenia germańskiego wroga...

W kolejnej części spektaklu — dziewczynka z Kraju. Ubrana jest na czarno. Przynosi nam pozdrowienia z Wisły, od gór i od morza. „Dla ciebie żołnierzyku — mówi dziewczynka, siostra nasza — dla ciebie, który przeszedłeś ciężką, długą niewolę, nie zlamany na duchu, pozdrowienia od najbliższych śle; od tych pól malowanych, wylaczanych pszenicą i posrebrzanych żytem!”

Kiedy zapadła kurtyna, zerwała się burza oklasków. Niezapomniane wrażenia wynieśliśmy z tej „Nocy w Tatiszczewie”. I długo jeszcze rozprawiano o przedstawieniu i o tamtych, nie tak dawnych dniach, spędzonych pod zupełnie innym niż tutejsze niebem.

Działal-Abad,
15 maja 1942 r.

Dzisiaj został przeniesiony do 5 Batalionu Sanitarnego. Stacjonuje on tutaj, w Działal-Abadzie. Tutaj też, w budynku szkolnym, mieści się szpital 5 Dywizji Piechoty. Wyznaczono mnie na stanowisko rachmistrza działu gospodarczego. Kierownikiem tego działu jest por. Stanisław Derwiński z Wilna. Dowódcą batalionu jest dr medycyny mjr Maciejewski. Dowódcą do spraw wyszkoleniowych — ppor. Józef Dzikowski, a szefem kompanii — Kazimierz Kruszona z Poznania.

Działal-Abad,
22 czerwca 1942 r.

Wykonano dziś o świcie na cmentarzu wyrok śmierci na dwóch żołnierzach z mojego oddziału. Wyrok ten wydał Sąd Polowy 5 Dywizji Piechoty. Piłton egzekucyjny — z 15 Pułku Piechoty.

Karą śmierci przez rozstrzelanie zostali ukarani: Eugeniusz Meyer, podporucznik sanitarny, ur. 11 września 1899 r. w Tomaszowie Mazowieckim, oraz Bernard Sobota, sierżant (przodownik Policji Państwowej), ur. 2 sierpnia 1890 r. w Czachowie, pow. Szamotuły.

Meyer był adiutantem dowódcy batalionu mjr. dra Czynciela, a po śmierci tego ostatniego — również adiutantem obecnego naszego dowódcy, dra mjr. Maciejewskiego. Sobota był podoficerem żywnościowym i kuchennym kompanii i szpitala 5 Dywizji.

To, co wiem o przyczynach wyroku:

Meyer — proniemiecki stosunek; hitlerowiec mieszkający w Polsce. W czasie pobytu w obozie jenieckim w ZSRR należał do nielegalnego kółka hitlerowców. Z grupą innych podpisał depeszę do Hitlera, gratulując zdobycia Francji.

Sobota — proniemiecki stosunek; hitlerowiec poza granicami Rzeszy. W czasie pobytu w obozie jenieckim w ZSRR chwalił się kolegom współżyciem, że obecnie żona jego, która mieszka w Szamotulskim, otrzymała przydział ziemi zabranej Polakowi po wkroczeniu Niemców, a także krowę oraz inny żywy i martwy inwentarz po konfiskacie gospodarstw polskich. W rozmowie z kolegami policjantami — boć przecie był przodownikiem Policji Państwowej do września 1939 r. — Sobota mówił, szydząc: „Was w dupę Niemcy bili i bić będą!”

Najbardziej obciążający materiał przekazały Sądowi Polowemu 5 DP sowieckie władze wojskowe; materiał ten został zebrany podczas obserwacji Meyera i Soboty w obozach jenieckich.

Obydwaj zostali pochowani na cmentarzu polskim w Działal-Abadzie. Meyer — grób 1-B, Sobota — grób 2-B.

Działal-Abad,
w lipcu 1942 r.

Chyba jeszcze w czerwcu przybył do naszego wojska na terenie ZSRR biskup polowy Józef Gawlina z otoczeniem. Przyjechał tutaj z Londynu po wielu trudnościach natury politycznej. Zwiększono m.in. gdzieś na boczne tory jego bagaż, w którym były dewocjonalia i modlitewniki dla wojska i ludności cywilnej. Bolszewicy zgadzali się na przyjazd biskupa Gawliny tylko pod warunkiem wizytacji przez niego jednostek wojskowych, z wyłączeniem mas ludności cywilnej polskiej, gromadzącej się zazwyczaj w pobliżu miejsc postoju wojska.

Biskup odwiedził wszystkie nasze większe oddziały stacjonujące w okolicach Działal-Abadu. A któregoś pięknego, niedzielnego dnia — już w lipcu — przybył także z wizytą do Szpitala Polowego 5 DP.

Po odprawieniu Mszy Św. biskup nasz udzielił Sakramentu Bierzmowania bardzo wielu żołnierzom oraz osobom cywilnym. Zginały się kolana na twardej dziedzińcu szpitalnym, a biskup, w pełni szat liturgicznych, podchodził do kolejnych kłęczących osób, kładł im rękę na głowie, błogosławiąc i udzielając Sakramentu.

Przez Sakrament Bierzmowania chrześcijanin otrzymuje łaskę Ducha Świętego, aby mężnie wyznawał wiarę świętą i doskonalej w niej żył. Dary Ducha Świętego są: mądrość, rozum, rada, męstwo, umiejętność, pobożność, bojaźń Boga.

Biskup Gawlina odwiedził również chorych żołnierzy w salach szpitalnych. Każdy z chorych dostał obrazek przedstawiający św. Andrzeja Bohołą i drugi — z Matką Boską Ostrobramską oraz krzyżek z masy kolorowej.

Był Józef Gawlina pierwszym po rewolucji bolszewickiej 1917 r. biskupem, który miał możliwość przybycia na ziemie rosyjskie dla odwiedzenia nie tylko żołnierzy polskich, ale też i licznie skupionej wokół wojska naszego — ludności cywilnej.

Działal-Abad,
27 lipca 1942 r.

Dzisiaj została ochrzczona w Działal-Abadzie przez naszego kapelana — Elżunia Kowalska. Ojciec chrzestny: Wacław Stefan Flisiński. Matka chrzestna: Krystyna Olesiak, pochodząca ze wsi Chlewiszcz-Brasewice, pow. Drohiczyn. Prawdopodobnie rodzice dziecka z tej wsi pochodzili. Nie znam ich imion.

Dodam, że Stefek Kaczyński i Polka-uchodźczyni zostali chrzestnymi dziecka rodziców Rosjan — w Tatiszczewie w styczniu 1942 r. Kuma Stefka nazywała się Anna Leszczuk, pochodziła z Łucka.

[Dołączony do dziennika fragment książki Tadeusza Zajączkowskiego „Na szlaku Kresowej”:]

„Kiedy z rana i wieczorem płynęły na białe od mrozu niebo słowa modlitwy żołnierskiej, kiedy w niedziele rozbrzmiewały improwizowane kaplice potężną pieśnią kościelną, okoliczna ludność rosyjska słuchała tego jak urzeczona.

Wieść-legenda o tym, „jak modlą się Polacy”, szła coraz szerzej po stepie. I wkrótce rozpoczęło się coś, czego nie można nazwać inaczej, jak najpiękniejszą pracą misyjną Polskiego Żołnierza.

W ciemne noce, kiedy nad obozem polskim wiały stepowe z jękiem i wyciem gnały chmury śniegu, przemykały się chyłkami i ostrożnie do polskich namiotów baby w chusty opatulone, brodate muzyki rosyjskie. Przychodzili „do panów” a to po krzyżek poświęcany do trumny dla zmarłego krewnego, a to po chrzest dziecka, a to po ślub.

I ten żołnierz, który, zdawałoby się, miał tyle uzasadnionych powodów do nienawiści względem Rosjanina, nie tylko nigdy prosił go nie odmówił, ale zawsze ją wykonał z dobrym słowem otuchy i zachęty.

Czynili to nie tylko kapelani, czynili to każdy z żołnierzy, do którego namiotu wszedł nocny pent.

Ilu tam tych Sakramentów udzielono — nikt nie wie, nikt tego nie liczył, zresztą nikt nawet na to specjalnej uwagi nie zwrócił. Był to prósty, naturalny odruch pomocy bliźniemu. Była to również i jedyna w swoim rodzaju akcja misyjna. Bodaj pierwszy raz w dziejach tak daleko w głąb stepów azjatyckich piękno i potęgę wiary Kościoła Katolickiego zaniosło.”

Działal-Abad,
29 lipca 1942 r.

Co pewien czas dr farmacji Henryk Szancer, zarazem nasz referent oświatowy, prowadzi wykłady i pogadanki na temat historii i kultury polskiej. Także na temat stosunków polsko-niemieckich w ciągu wieków oraz zbrodni i terroru hitlerowskiego. Np. 21 lipca za temat pogadanki wybrał on: „Zbrodnie, terror i szkany hitlerowskie w Polsce”. W dniu dzisiejszym słuchaliśmy wykładu zatytułowanego: „Wkład Polski do cywilizacji i kultury ludzkości”. Oto fragment konspektu tego wykładu:

„1. Istotny dorobek cywilizacyjny i kulturalny Polski.

2. Niemcy negują zasługi Polski w tej dziedzinie, stwarzając mity o niemieckim pochodzeniu polskiej kultury, niemieckim pochodzeniu polskich uczonych itp.

3. Obowiązek zwalczania tego rodzaju przejawów, opartych na wrogim odnoszeniu się do polskości lub też na nieświadomości i niewiedzy obcych.

4. Nawiazanie do poprzedniej pogadanki; w szczególności do działu walki z polskością na niwie kultury.

5. Najważniejsze zasługi Polski w dziedzinach: literatury pięknej, bibliografii naukowej, muzyki, tańca, śpiewu, malarstwa, sztuki scenicznej, nauki i wiedzy, nauk humanistycznych [...]”

Jak zwykle, słuchaliśmy wykładu dra Szancera z ogromnym zaciekawieniem. Ale, szczerze mówiąc, chwilami odbiegaliśmy myślami od tego, co mówił, w stronę najbliższej przyszłości. Od pewnego czasu coraz głośniejszym bo wiem — o mającej nastąpić wkrótce ewakuacji całego polskiego wojska do Persji.

My mamy, podobno, wyjechać z Działal-Abadu w pierwszej połowie sierpnia.

(Koniec odcinka 19. — cdn.)

Podał do druku i opracował:
Miroslaw Derecki

Z KSIĘGARNI

DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

„Baśnie braci Grimm”, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, t. I/II 4200 zł.

Hans Christian Andersen: „Nowe szaty cesarza i inne baśnie”, Wyd. Poznańskie, 190 zł.

Nathaniel Hawthorne: „Opowieści z zaczarowanego lasu”, Nasza Księgarnia, 950 zł. Miły grecki.

Halina Rudnicka: „Chłopcy ze Starówki”, Nasza Księgarnia, 480 zł. Wznowienie powieści z czasów okupacji.

Janusz Nasfeter: „Najpiękniejsze dni”, Nasza Księgarnia, 510 zł. Opowiadania.

POEZJA

Kazimiera Hlakowiczówna: „Zaczynam się i kończę śpiewem”, Nasza Księgarnia, 500 zł. Wybór.

DRAMAT

Stanisław Wyspiański: „Wesele”, Ossolineum, 800 zł. Wstęp i komentarz I. Sikory.

Juliusz Słowacki: „Książę Marek”, Ossolineum, 450 zł. Wstęp i komentarz Kingi Konopki.

PROZA

Ernest Hemingway: „Komu bije dzwon”, Książka i Wiedza, 360 zł. Wydanie X.

Henryk Sienkiewicz: „Wybór nowel i opowiadań”, Ossolineum, 500 zł.

Byszard Kuryłowicz: „Nieszłomny z Nazaretu”, IW PAX, 280 zł. Powieść historyczna o Jezusie z okresu jego publicznej działalności.

Maria Rodziwiczówna: „Lato leśnych ludzi”, Nasza Księgarnia, 500 zł. Wydanie XXI.

Tomasz Mann: „Królewska Wysokość”, Czytelnik, 900 zł. Od autora: „Występują: książę, milioner, szofer, rasowy pies, obłąkana hrabina romantyczny nauczyciel i osobliwego rodzaju księżniczka...”

Józef Hen: „Królewskie sny”, Iskry, 950 zł. Powieść historyczna, na podstawie której zrealizowany został — niedawno emitowany — serial tv.

Jerzy Janicki: „Polskie drogi”, Wydawnictwo RTV, 850 zł. Opowieść filmowa.

Władysław Roman: „Oficer do zlecenia”, PWN, 1600 zł. Opowieść o losach wojennych i powojennych (skarżenie w tzw. procesie Tatara) oficera AK.

BIOGRAFIE, MONOGRAFIE

Zbigniew Sudolki: „Słowacki”, LSW, 950 zł.

Stanisław Stabryla: „Owidiusz. Świat poetycki”, Ossolineum, 1150 zł.

Ellen Terry: „Historia mojego życia”, PIW, 1650 zł. Wspomnienia wielkiej angielskiej aktorki żyjącej w latach 1847—1928.

(Powyższy wybór nowości pochodzi z księgarni nr 1 „Domu Książki” w Lublinie, Krak. Przedm. 68).

LUBELSKA „BIAŁA PLAMA”

BYŁEM „KLAWISZEM”
NA ZAMKU

DOBRA dzielnica Lublina. Trzy-pokojowe mieszkanie kwaterekowe na trzecim piętrze. Typowe meble, bibeloty „od prywaciarza”, na ścianach obrazy o treści religijnej. Tu między dziennikarzem, tropiącym wojenną historię więzienia na Lubelskim Zamku, a 65-letnim mężczyzną o rumianej i nadszpejzowanej często uśmiechniętej twarzy, potoczyła się następująca rozmowa:

— Jest pan jedynym funkcjonariuszem służby więziennej z Zamku, z lat 1944—51, który zgodził się na taką rozmowę.

— Bo ja też nie mam nic do ukrycia; najlepszy dowód, że mój adres dostał pan od jednego z więźniów. Z góry jednak mówię: niewiele pan się ode mnie dowie. Ja byłem tam tylko zwykłą plotką. W dodatku służbę zacząłem dopiero w 1948 r., kiedy Zamek z NKWD-owskiej i UB-owskiej katorżnicy stał się już zwykłym więzieniem.

— Może przyjdzie czas, że zechcą mówić i inni, ale póki co...

— Myśli pan, że będą mówić przeciw sobie? W dodatku o ile są jeszcze na wysokościach stanowiskach, albo mają bardzo dobre emerytury?

— Może pan podać swoje imię i nazwisko?

— Wolalbym nie. Ale jak powiem, że miałem ksywę „Pomidor” i drugą „Kazio Dobrodusznik”, to przynajmniej dla niektórych będzie wiadomo, o kogo chodzi.

— Dlaczego zdecydował się pan zostać „klawiszem” na Zamku?

— Tu muszę opowiedzieć panu trochę mojego życiorysu. Urodziłem się

Poznańskiem. Rodzice moi byli formalamy na dworze hrabiego Bogdana Szembeka — może pan słyszał o takim powstańcu wielkopolskim. Od młodości kochałem konie, i hodowałem je dla pana hrabiego, a później, w czasie okupacji, dla Niemców. Zaraz po wejściu Rosjan, w lutym 1945, przymusowo zabrany zostałem do wojska. Zanim odbyłem szkolenie rekonstrukcyjne, wojna już się skończyła. Toteż nasza jednostka skierowana została do walk z bandami, najpierw w Rzeszowskie, a później w Lubelskie.

— Pamięta pan jakieś akcje na Lubelszczyźnie, z kim walczyliście?

— Tego to ja nie wiedziałem i do dziś specjalnie nie wiem. Nasi oficerowie pol.-wych. mówili w czasie pogadanek, że są to Niemców niedobitki, ale przede wszystkim Ukraińcy z UPA i polska reakcja, która chce, żeby znów wszystko było tak jak przed wojną: fabrykanci, obszarnicy gnębiący formali. Wierzyłem w to. Ale strzeleliśmy dlatego, że tamci strzelali do mnie, choć ja im nic złego nie zrobiłem, a w dodatku przecież pochodziłem nie stąd, tylko z Poznańskiego. Pamiętam, że najcięższe bitwy były w rejonie między Włodawą a Parczewem. Tam zginęło wielu naszych z Poznańskiego, z Krakowskiego. Można to sprawdzić na cmentarzu przy ul. Lipowej.

— Kiedy wstąpił pan do straży więziennej?

— Pod koniec 1947 r. zostałem demobilizowany. Już wtedy byłem żonaty z tutejszą dziewczyną, postanowiłem więc zostać w Lublinie. Gdy odchodziliśmy do rezerwy, przychodzili do nas agitatorzy i proponowali pracę w milicji, na kolei, w leśnictwie, w więziennictwie. Ja, proszę pana, byłem schorowany, miałem ukoricozone

tylko cztery klasy, a przy tym myślałem sobie, że jak zostanę tym strażnikiem, to może trochę i ludziom pomogę. Bo ja byłem i jestem wierzący i praktykujący, za co mi nieraz przychodziło odpokutować. Pracę na Zamku rozpocząłem w styczniu 1948 r.

— Jak zorganizowana była służba więzienna? Byliście podobno panami życia i śmierci waszych więźniów.

— Z opowiadań wiem, że działy się tu rzeczywiście przerażające rzeczy w czwarty, czwarty, czwarty piąty... Ale gdy ja obejmowałem służbę na Zamku, było już po wyborach, po amnestii. Przeważnie siedzieli wtedy — tak polityczni, jak i kryminalni — przeciwko, którym prowadzone było śledztwo. Dużą grupę stanowili ludzie zaarrestowani w czasie „cudu lubelskiego”, w tym księża. Ci wyszli dość szybko, śledztwa przeciwko politycznym ciągnęły się długo, a po wyroku wywiezieni byli do Wroniek, Strzelec Opolskich i innych więzień.

— Co wie pan na temat egzekucji, tortur w czasie przesłuchań?

— Posłuchaj pan, bogiem i carem był naczelnik więzienia. Gdy ja rozpoczynałem pracę, był nim Feliks Kiełsiński, także przynajmniej wtedy nosił nazwisko, bo wcześniej miał swoje, żydowskie. Jego prawą ręką był Wacław Rabarstki, komendant ochrony, który mocno dokuczał więźniom, a jego zastępcą Tadeusz Flor. Myślałem, że żyją ludzie, którzy mogliby o nich opowiedzieć. Ze ma być egzekucja, dowiadaliśmy się, gdy przyjeżdżała specjalna grupa cywili. Gdzie się to odbywało i jak — przynajmniej ja tego nie wiem.

W pierwszym okresie pracy na Zamku wyznaczony zostałem do pełnienia służby wotowniczej, w tzw. bocianach, czyli strażnicach znajdujących się na zewnątrz więzienia. Mniej więcej po

roku skierowany zostałem na kursy, podczas których przeważnie szkolono nas politycznie, mówiono, że z więźniami nie wolno utrzymywać żadnych kontaktów, a gdyby któryś uciekł, to my pójdziemy za niego siedzieć. I po takim kursie poszedłem na oddział.

— Co należało do pana obowiązków?

— Wszystko to, co przewidywał regulamin. Wyprowadzanie więźniów na półgodzinny spacer, kobiety ciężarne na 2,5 godziny, podawanie jedzenia, doprowadzanie na przesłuchania, konwojowanie do lekarza albo szpitala...

— ...z powodu pobicia teń?

— No, zdarzali się tacy pracownicy służby więziennej, którzy nie przestrzegali regulaminu w tym względzie. Ale częściej miało to miejsce w przypadku umyślnych uszkodzeń ciała przez więźniów. Zasypywali sobie oczy chlorem zabranym z wydezynfekowanego ustępu, pokuszonym ołówkiem chemicznym. Zdarzało się, że przemyconym nożem czy zyletką rónęli się, a w ranę wpychali słomę, by wywołać zakażenie. Tych, którzy ogłaszali głodówkę, trzeba było karmić na siłę.

— Ile pan zarabiał?

— 800—900 zł i 200 zł rodzinnego. Nie wiem, czy pan wie, że były to małe pieniądze. Jako że miałem już trójkę dzieci, kwaterekową rudere przy ul. Przemysłowej, którą trzeba było jakoś urządzić, handlowałem własną krowią. W ciągu ponad 20 lat sprzedałem w sumie 39 litrów krwi.

— A w więzieniu nie można było „dobrać”?

— Można było. Ale dzięki temu, że Pan Bóg ustrzegł mnie przed takimi pokusami (po 1953 r. aż do emerytury pracowałem jeszcze w więzieniach w Krasnymstawie i Chełmie), nie musiałem, jak inni, zmieniać nazwiska ani uciekać na drugi koniec Polski. Nikt też nie „cdał mi sprawiedliwości” na ulicy. A często spotkami przypadkowo byli „kiblarze” wotający: „Cześć klawisz, chodź napijemy się piwa”.

— Niech mi pan powie szczerze: w czasie całej tej rozmowy odnosiłem wrażenie, że nie opowiedział mi pan wszystkiego. Mam rację?

— Może i usłyszałby pan więcej, gdybym wiedział... że jutro umrę. Niech pan się nie dziwi: ludzie, z którymi pracowałem, są jeszcze w pełni sił, a ręce mają nadal długie. Gdy nadejdzie odpowiedni czas, ja sam pana odszukam.

Rozmawiał: Zbigniew Miazga

LISTY-POLEMIKI

Dokończenie ze str. 6

operacyjnych ponad rok przebywa na zwolnieniu lekarskim.

Na jakiej podstawie autorka artykułu, będąc prawdopodobnie po raz pierwszy w swym młodym życiu w domu pomocy społecznej, zdołała w ciągu godziny czasu tak „bezbłędnie” określić atmosferę naszego Domu, przyjmując z wyraźnym niedowierzaniem pozytywne opinie mieszkańców, z którymi rozmawiała. Czy celem wizyty była tendencyjna krytyka naszego Domu? Czemu i komu ma to służyć, bo na pewno nie pensjonariuszom i personelowi.

Przepraszam za pełen gorczy list, ale ponad 32-letnia moja praca z ludźmi opuszczonymi, niepełnosprawnymi i ciągle starania o dobrą jej organizację na rzecz mieszkańców powodują, że odbiór informacji, pozabawionej rzetelnej i merytorycznej znajomości omawianych zagadnień, przyjmowany jest zarówno przez mnie, jak i personel w sposób szczególny.

Z poważaniem

Dyrektor
mgr Irena Niwińska

„STU Z LUBLINA”

Nawiązując do listy stu osób interwencyjnych w Diagilowie („Relacje” nr 12/1988 r.), pragnę przedstawić losy

mojego ojca Piotra Zygmunta, przedwojennego podoficera zawodowego 25 Pułku Ułanów Wielkopolskich — żołnierza Września, który po klęsce pod Kockiem rozpoczyna pracę konspiracyjną w AK pod pseudonimem „Zbigniew”. Biłże udział w wielu akcjach partyzanckich na terenie pow. łukowskiego jako podkomendant legendarnego „Ortosa”.

Rok 1944 przynosi koniec okupacji niemieckiej na Ziemi Łukowskiej — koniec wojny. Dla mojej i wielu rodzin polskich to nie był, niestety, koniec, lecz początek nowej tragedii. Ojciec mój nie był mobilizowany do Wojska Polskiego, ale jednocześnie nie ujawnił swojej przynależności do AK. W listopadzie 1944 r. zostaje w obecności żony i dwojga dzieci (miałam wtedy 13 lat, mój brat 11), aresztowany przez NKWD.

Od tego momentu aż do powrotu w dniu 23.IX.1947 r. wszelki kontakt nasz z ojcem urywa się. Nie mieliśmy żadnej wiadomości o nim, ani on o nas. Listy wysyłane przez mamę do Przedstawicielstwa Radzieckiego przy PKWN, a później do Ambasady Radzieckiej, pozostały bez odpowiedzi.

Z opowieści ojca wiem, że po aresztowaniu przewieziony został ciężarówym, przepelnionym więźniami autem do Białegostoku. Wszyscy mieli grubymi sznurami potwiązane do tyłu ręce. W więzieniu w Białymstoku przesiedział tydzień. Był tam przesłuchiwany i bity. Kontuzja z tego okresu pozostała do końca życia. Po tygodniowym pobycie tam, transportem złożonym z

takich jak on, pociągiem towarowym w koszmarnych warunkach, wywieziony został do obozu w Ostaszówku, a potem do Diagilowa.

Podróż trwała 2 tygodnie w pozycji stojącej w przepelnionych wagonach.



Do jedzenia dostawali więźniowie słomę, na wół zgnile śledzie. Wody do picia nie dawano. Opowiadał mi ojciec, jak torturą był brak wody, jak więźniowie lizali zaszczone śruby wewnątrz wagonu; jak na jednej ze

stacji, kiedy otworzono na chwilę wagony, wszyscy padali twarzą na śnieg, aby nasycić pragnienie.

Opowiadał o straszliwych warunkach życia w obozie, o zupie z brukwi i małej porcji chleba, o zorganizowanej głodówce i brutalnej interwencji NKWD: karmienie przemocą rurkami wpychanymi do gardła. (Opis warunków podróży i życia w obozie zbitej jest z opisem W. Krajewskiego w: „Kurier Polski” nr 40 z 24—26.02.1986).

Mama po aresztowaniu ojca została z nami bez środków do życia. Nie mogła uzyskać pracy i wyraźnie sugerowano jej (były ponoć telefon z KP PPR), iż pozostaje tu w związku z internowaniem ojca. Pewną pomoc okazał nam jego współtowarzysz. Dopiero na skutek interwencji byłego przedwojennego sekretarza gm. Łuków, p. Władysława Czupryny, który głośno wyraził pogląd iż „za winy męża nie może zginąć z głodu żona z dwojgiem dziećmi” — mama otrzymała pracę.

Po powrocie z obozu 23.IX.1947 r. ojciec chorował przez dłuższy czas, na skutek wycieńczenia miał zaburzenia świadomości. Po roku opuścił teren Łukowa, wyjechał do Poznania, a następnie w 1949 roku rozpoczął pracę w Lublinie. Ze strony władz formalnie nigdy nie czyniono mu były zarzuty czy zastrzeżenia związane z jego przeszłością. Ojciec mój zmarł w 1977 r. W całym życiu bardzo rzadko i niechętnie wracał do wspomnień z lat 1944—1947.

Krystyna Cempel
Lublin

MUZYKA

WIELCY I JESZCZE MALI

Teresa Księżka

GORĄCZKA przedwyborcza, pęd po NOWE i LEPSZE nie zakłócił rytmu pracy środowiska muzycznego miasta. Majowy program koncertów w filharmonii lubelskiej przypominał wielkie dzieła, wielkich mistrzów, był też „przedmiotem działania” debiutantów, absolwentów Państwowej Szkoły Muzycznej st. Podstawowego i Licealnego im. K. Lipińskiego, bowiem 19 i 20 tegoż miesiąca po raz pierwszy stanęli na nobilitującej, filharmonicznej estradzie — jeszcze pod czujnym okiem swych pedagogów, ale już ze świadomością siły i możliwości.

5 i 6 maja solistami koncertów wieczornych byli zdolni „średniacy” (blisko 40-letni!), instrumentalisci: Wiesław Kwaśny — skrzypce i Julian Tryczyński — wiolonczela (obecnie — Kanada), obaj laureaci międzynarodowych konkursów muzycznych, ludzie z bogatym już dorobkiem, pewni swych artystycznych szans. Grali „Koncert podwójny a-moll op. 102” J. Brahmsa. Towarzyszyli im lubelscy filharmonicy pod dyktando Ryszarda Komorowskiego. Oni też byli „sprawcami” dzieł Stanisława Moniuszki: „Intrady do STRASZNEGO DWORU”, Uwertur do „HRABINY” i „FLISA” oraz „BAJKI”.

Sądzę, że o pełnym sukcesie trudno, niestety, mówić. Osobliwa akustyka, bądź co bądź kameralnej sali filharmonii pomieszała solistom szyki. Nastawieni na grę na ekspans, Kwaśny i Tryczyński zgubili proporcje brzmieniowe, dali z siebie dużo i... jeszcze więcej, co słuchane z boku

przyniosło zbędny forsing dynamiczny i zakłócenia jakości dźwięku. Są utalentowani instrumentalnie, bez wątpienia, ale prawa estrady, sal koncertowych są srogie; i tu przydałyby się wykonawcom swoiste umiejętności, jak chociażby wyobrażenie długości brzmienia, proporcji barw jasnych i ciemnych.

Bardzo dobre wrażenie pozostawiły dzieła Moniuszki, co prawda wielokrotnie grywane przez filharmoników, tym razem wszak słuchane z nową sympatią, jakby „na świeżo”.

W następnym tygodniu maja koncertowali: Krzysztof Jakowicz i amerykański dyrygent z San Francisco, Edgar J. Braun. Znany nasz skrzypek zaprezentował „Koncert D-Dur op. 61” L. van Beethovena, zaś obrazem możliwości i koncepcji artystycznej dyrygenta stała się „III Symfonia ES-Dur EROICA op. 54”.

Praktycznie było to spotkanie dwóch przeciwstawnych temperamentów, odmiennych wizji tego samego dzieła. Jakowicz grał na swój „zachlanny” sposób, Braun — jako partner (na czele filharmoników, oczywiście) — okazał się powściągliwym konstruktorem, artystą gustującym w tempach nieco wolniejszych, niż zwyczajowo przyjęte, za to podającym tekst z precyzją komputera. I tak, o ile przekonującym — przynajmniej mnie! — stał się Jakowicz — solo, o tyle potrzebowałam Symfonii, by móc podziwiać Edgara J. Brauna. Cóż, po prostu dobra, potrzebna lekcja na temat: Program estetyczny i jego skutki.

Tegoroczne, XVIII już Nałęczowskie Divertimento „wplóło się” w kolejny Lubelski Festiwal Gitarowy — wielkie dzieło Kazimierza Szczebla (!) — i wspomniane koncerty dyplomantów Szkoły Muzycznej im. K. Lipińskiego w Lublinie. Atrakcją cyklu było „Oratorium MESJASZ” G. F. Haendla, w dobrej obsadzie solistów i wzorowo prowadzoną przez Stanisława Galińskiego „Capellą Cracoviensis”. Recital gitarowy hiszpańskiego wirtuoza Jose Maria Gallardo del Rey miał także wielu entuzjastów. Szczególnie gorąco oklaskiwano dzieła S. de Murcia, J. S. Bacha i I. Albeniza. Filharmonicy lubelscy pod dyktando Adama Natanka, z solistami — Danutą Damięką, Andrzejem Hiolskim — Chórem UMCS, przygotowanym przez Lucjana Jaworskiego, powtórzyli swój sukces sprzed kilku tygodni — „REQUIEM” G. Fauré. W programie „Ballady i Pieśni” wystąpił Paweł Skrzypek i, w zastępstwie A. Hiolskiego, lubiana, niezmiennie w formie, Danuta Damięka z towarzyszącym przy fortepianie M. Dawidowiczem. Ostatnim koncertem Nałęczowskiego Divertimenta był recital Mariana Opani — „Moje fascynacje” — majstersztyk aktorsko-wokalny.

Wieczory w filharmonii 19 i 20 maja miały niecodzienne zabarwienie uczuciowe — uśmiechy mieszały się ze łzami, nerwowe podniecenie konkurowało z uczuciem dumy. Grali najlepsi z najlepszych, młodzież z przyszłością, w kolejności muzycznych prezentacji. W piątek: Dorota Szyszkowska — z klasy harfy prof. Elżbiety Janikowskiej, Dorota Dobosz — z klasy fortepianu prof. Corelego Świecy, Jarosław Duda — z klasy fortepianu prof. Barbary Górskiej, kontrabasista Tomasz Kupiec, uczeń prof. Dariusza Waćkowskiego, skrzypaczka Joanna Kurkiewicz, wychowanka prof. Franciszka Falgera. W sobotę: Piotr Wajrak — fortepian, z klasy prof. Teresy Księżkiej-Falger, Joanna Cwirko — fortepian, z klasy prof. Anny Bierut-Sęk, Grzegorz Romanowski — skrzypek, uczeń prof. Franciszka Falgera oraz Tomasz Romanek z klasy fortepianu prof. Teresy Księżkiej-Falger. Nad całością czuwał, serdecznie sprawie oddany, Ryszard Komorowski wraz z orkiestrą filharmonii.

Tegorocznym programem koncertów mogłaby się poszczycić niejedna akademii muzyczna. Beethoven „sąsiadował” z Sibelusem, Liszt z Wieniawskim i Griegiem. Hummel z Kusewickim i Albrechtsbergerem, a grano w sposób imponująco sprawny i dojrzały. Każda też z produkcji miała w sobie coś indywidualnego, coś z zapowiedzi, nadziei... Niech ludzka mądrość i życzliwość towarzyszą im w dalszej drodze.

INFORMATOR KULTURALNY

TEATRY

W LUBLINIE

Teatr im. J. Osterwy: 23.06—25.06 godz. 19: „Portret” Sławomira Mrożka; reż. Jacek Andrucki.

W ZAMOŚCIU

23.06—24.06 godz. 19 (WDK): „Kubuś Fatalista i jego Pan” wg D. Diderota w wykonaniu aktorów Teatru Dramatycznego w Warszawie — spektakle prezentowane w ramach XIV Zamojskiego Lata Teatralnego.

WYSTAWY

Muzeum im. J. Czechowicza: 22.06 godz. 19 — wernisaż wystawy linorytu Leszka Kiljańskiego.

Muzeum Lubelskie — ogólnopolska wystawa METAFORA'89 — „ziemia”; wystawa pt. „Węgierski strój kobiecy IX—XIX w.”.

Galeria BWA (ul. Narutowicza 4) — wystawa fotografii Tomasza Tomaszewskiego pt. „Spojrzenie Ameryki” z tekstem Małgorzaty Niezabitowskiej. Galeria Labirynt 2 — wystawa Dominga Cisnerosa z Kanady. Galeria Grodzka (ul. Grodzka 5a) — wystawa rzeźby Klause Simona pt. „Zwrotnik”.

Galeria TPSP (ul. Grodzka 32/34) — wystawa malarstwa Krystyny Witkowskiej-Trochimuk.

Galeria Srodek (ul. Kiepury 5a) — wystawa ze zbiorów Karola Karwowskiego „Sztuka przez pocztę — Mail Art”.

Oddział Kultury Fizycznej i Sportu (Al. Zygmuntołskie 4) — wystawa pt. „Sport w plastyce NRD”.

W BIAŁEJ PODLASKIEJ

Galeria Sztuki Współczesnej — wystawa malarstwa Andrzeja Strumilly pt. „Psalm”. Muzeum Okręgowe — wystawa pt. „Sztuka jarmarków i odpustów”.

W CHELMIE

Muzeum Okręgowe — wystawa archeologiczna pt. „Odkrycia archeologiczne sezonu 1988 w Polsce środkowo-wschodniej”.

W ZAMOŚCIU

BWA — wystawa malarstwa Sławomira Kazimierza Zwierza.

KONKURS POETYCKI

Regionalny Klub Literacki przy Oddziału Kultury Wsi ZMW „Scena Ludowa” zaprasza do wzięcia udziału w I Konkursie Poetyckim pod hasłem „U progu kresów”.

Konkurs ma charakter otwarty, ale nie mogą w nim brać udziału członkowie ZLP. Tematyka nadsyłanych na konkurs utworów powinna nawiązywać do literackich tradycji polskiego wschodu, historii tego regionu oraz kultury i tradycji z uwzględnieniem kulturotwórczej roli Kazimierza nad Wisłą.

Na konkurs należy nadsłać trzy utwory, które nie były dotąd publikowane, w trzech egzemplarzach. Zarówno tekst jak i koperta winny być opatrzone godłem. Dodatkowo w zamkniętej kopercie należy zamieścić informacje: imię i nazwisko, wiek, dokładny adres, miejsce urodzenia i zawód.

Prace nadsyłać można do 15.08 br. pod adresem: OKW ZMW „Scena Ludowa” Oddział Lublin, ul. Chopina 5, 20-026 Lublin. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w październiku br. na Biuletynie Literackiej. Autorom najlepszych prac przyznane będą nagrody pieniężne w wysokości: I — 30 000 zł, II — 25 000 zł, III — 15 000 zł oraz trzy wyróżnienia po 10 000 zł. Dla autorów spoza kraju za sumę wygranej nagrody zakupione będą książki i albumy. Przewidziana jest również nagroda specjalna za utwór poświęcony Kazimierzowi nad Wisłą.

Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród.

NIEUFNOŚĆ

Zygmunt Mikulski

FILOZOFIA poety nie jest generatorem osiągnięć artystycznych ani formantem stylistycznym. Nie katastrofizm Czechowicza rodzi wnikliwość jego sformułowań, nie postawa renesansowa — szerokość kławiatury Gałczyńskiego, nie wierność kulturowym wzorom — niestaroświecki tradycjonalizm Lechonia. Jednak światopoglądowy składnik postawy artystycznej nie jest do pominięcia przy odbiorze twórczości poety. Jako intelektualny pogłos, akompaniament świadomości, towarzyszącej emocjonalnej reakcji na świat. Z tym, że owa emocja nie jest synonimem uczuciowego rozwibrowania, jak to występuje w konwencjonalnym rozumieniu. To coś, co w dyspozycji reagowania na rzeczywistość nie jest beznamiętnym intelektem, lecz wrażliwym nerwem. Czynnym jednak nie w strefie naiwnie pozakontraolnej. Inna jest emocja panienci, która wybranego widziała w damskim towarzystwie, a inna poety, który uderzeniu przez świat daje świadectwo wierszem.

Poezja Urszuli Gierszon jest kontestacją. Kontestacją w stosunku do ludzkiego losu z jego przygniatającymi determinantami. Nie protestem, ten wynika z konfliktu. Uśmiech nie pogodzonej, ale wiedzącej i bezradnej melancholii — to się da wyczytać w „Siedmiu barwach płomienia”. Również wyobcowanie się, poszukiwanie absencji od tego świata drastycznych i dramatycznych śpiew, skoro koegzystują w

nim na równych prawach dobro i zło, miłość i nienawiść, szczęście i tragedia.

Więc opozycja wobec ujemnych stron życia ma charakter rezerwy, izolacji, nie sprzeciwu. Bo sprzeciw z natury rzeczy świadczyłby o ułatwionej moralistyce albo — co gorsza — otworzyłby furtkę publicystyce. Poza tym poeta nie stawia siebie w pozycji stwórcy: nie przyjmuje odpowiedzialności za świat. Świat, w którym istnieje, to właśnie pomieszanie wartości, więc negocjować jedne — te ujemne — to nie dostrzegać całej rzeczywistości, nie widzieć wszystkiego. W dodatku i one składają się na istnienie, byt, życie, rzeczywistość, czyli mają upoważnienie ze strony tych instancji, których poeta pomniejsza nie może.

Czyżby wiedział zgodą i na te ze znakiem ujemnym? W filozofii Gierszon „pogodzić się” nie znaczy „zgodzić się”. Wobec niemożności wpłynięcia na zmianę, ani przyjęcia niezmiennego, zostaje jedno: nieufność. „Beze mnie”. Jest to powiedziane tak wyraźnie, że „ja” liryczne identyfikuje się z melankoliczną tożsamością autorki. Widzieć, uczestniczyć, przyjmować, ale przechodzić mimo, czasem z lekkim grymasem dezaprobaty, czasem z przycięciem ironii na ustach, a nade wszystko zdawać sobie sprawę z tego, że nawet najmniejszy drobniak jest wypadkową najogólniejszych egzystencjalnych determinantów. Owszem, promyk słońca, bukiet konwalii, refleks na szybie, ale

przy tym niedoścignijemy, podlegamy kalectwom, umrzemy. Nieustanna obecność przerastającej człowieka nieskończoności w szczegółach jego wtorków, jesieni, rachunków za ponownie przyłączoną elektryczność.

Jednak nieufność jest też chwiejna, dotyczy nawet samej siebie. I słusznie. Traktowana bezwzględnie, stałaby się kanonem, a nie wyrazem niezdecydowania. Przecież na świecie istnieją zjawiska zasługujące na zachwyt, na aprobatę, na miłosne przyjęcie. Gdybyż jednak ta arkadia była czymś więcej niż chwilowym azylem przed świadomością ostatecznego... Zawsze dochodzi do głosu w gruncie rzeczy pesymistyczna filozofia poetki, która zresztą i te chropowatości zapisuje na rachunek trwania, sama się do nich odnosząc z rezerwą, przyjmując je jako mijane w trakcie ludzkiego życia.

A więc poszukiwanie prawdy. Własnej, indywidualnej, ale przez to nie pozabawionej wymiaru ogólnoludzkiego — to zasadniczy kierunek wierszopisarstwa Urszuli Gierszon. Prawdy, a nie stylistyki. Dlatego odbiór „Siedmiu barw płomienia” nie może się odbyć bez odzewu w sprawach filozofii, poglądu na świat i poezji ze strony czytelnika.

Urszula Gierszon: „Siedem barw płomienia”. Wydawnictwo Lubelskie, 1987, str. 48, cena 60 zł.

TV

Czwartek — 22 czerwca

Program I

8.35 Domator: Nasza poczta; Spróbuj... potrafić!
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Śmierć utalentowanego szewca” — film fab. prod. CSRS
10.45 Domator: To się może przydać; As bierze raz — nauka gry w brydża.
16.00 Program dnia. Dt — wiadomości
16.05 Polskie źródło
16.25 Dla młodych widzów: Kwant, a w nim Superdrużyna — finał teleturnieju
17.15 Teleexpress
17.30 Wojskowy program historyczny
17.55 Być reporterem — Krzysztof Wójcik
18.20 Sonda: Promień nadziei
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Cypisek, syn rozbójnika Rumcajsa
19.10 Teraz — tygodnik gospodarzy
19.30 Dt
20.00 XXVI Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki — Opole '89 (debiuty)
21.10 Kroniki PAT: Tak było...
21.25 Czas — magazyn publicystyczny
21.55 Pegaz
22.45 Dt — echa dnia

Program II

17.25 Program dnia
17.30 Do szkoły pod górę
18.00 Program lokalny
18.30 Festiwal muzyki — Łańcut '89: Bisy Katii Ricciarelli — program z udziałem Pipo Baudo
19.30 Puls: „Warto zapamiętać” — film medyczny
20.00 „Defekt” — film fab. prod. węgier.
21.05 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio Teatralne „Dwójki”: Egon Erwin Kisch: „Wiebowzięcie szubienicznej Toni”. Reż. Laco Adamik; wyk.: Iga Cembrzyńska, Joanna Zółkowska, Bogdan Baer, Włodzimierz Saar, Franciszek Pieczka i inni.
22.40 Komentarz dnia.

Piątek — 23 czerwca

Program I

8.35 Domator: Nasza poczta; Kuchnie świata
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 Dt — dodatek gospodarczy
9.40 „Dempsey i Makepeace na tropie” — serial krym. prod. ang.
16.05 Program dnia. Dt — wiadomości
16.10 Radar: Kolobrzeg zaprasza — rozstrzygnięcie plebiscytu
16.25 Dla młodych widzów: „Adres Polska” (2) — „Dziesięć wypraw do naj” — film dok.
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego
17.15 Teleexpress
17.30 Z Polski rodem — magazyn polonijny
17.50 Program publicystyczny

18.15 Film dokumentalny
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Przygody Gapulki
19.10 Monitor rządowy
19.30 Dt
20.05 „Dempsey i Makepeace na tropie” — „Powiązania Corteza” — serial krym. prod. ang.
21.00 XXVI Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki — Opole '89 (gwiazdy i piosenki)
23.00 Kroniki PAT: Tak było...
23.15 Dt — echa dnia
23.35 „Sztuka formatu niewielkiego” — film dok. prod. pol.
24.00 XXVI Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki — Opole '89 — „Cicha woda” (transmisja)
1.30 Zakoczenie programu

Program II

17.25 Program dnia
17.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn „102” i Studio festiwalowe — Opole '89
19.00 Program publicystyczny
19.30 Dookoła świata: Na Filipinach
20.00 Piątek — Krakowski przekładaniec kulturalny
21.30 Panorama dnia
21.45 Filmy z Humphreym Bogartem: „Prawo czy bezprawie”. Reż. William Keighley; wyk.: Edward G. Keighson, Joan Blindell i inni.
23.05 Komentarz dnia

Sobota — 24 czerwca

Program I

8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny
8.55 Program dnia
9.00 Drops — magazyn dla dzieci i młodzieży oraz film z serii: „Fraggles” (42)
10.30 Dt — wiadomości
10.40 Stare, nowe, najnowsze
11.05 „Śladami Odysusza” cz. 1 — „Wojna trojańska”, „Odjazd” — film dok. prod. franc.
11.45 Zdrowie — wojskowy magazyn publicystyczny
12.15 „Wyprawa pod podszewkę Alp” (3) — „Olbrzymi i ruda Krasu” — film dok. Jakuba Kolskiego
12.50 Flesz — magazyn muzyki rozrywkowej.
13.15 Telewizyjny Teatr Prozy: Robert Louis Stevenson „Dr Jekyll i mr Hyde”. Reż. Jerzy Antczak; wyk.: Ignacy Machowski, Janusz Strachocki, Mieczysław Voit, Alicja Bobrowska, Helena Dąbrowska, Ryszarda Hanin i inni.
14.40 Do trzech razy sztuka — program z udziałem Barbary Wrzesińskiej, Ewy Bem, Wojciecha Manna, Krzysztofa Materny oraz Andrzeja Zaorskiego
15.10 Komedia, komedia... „Halo Szpicbródka, czyli ostatni występ króla kasiarzy” — komedia muzyczna prod. pol.
16.45 Losowanie Dużego Lotka
16.55 Studio Sport: Finał Pucharu Polski w piłce nożnej (Legia Warszawa — Jagiellonia Białystok) ok. 17.45 Teleexpress (w przerwie meczu)
19.00 Dobranoc: Podróż kapłana Klipera
19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Lato
19.30 Dt

20.00 „Dekalog, dziesięć” — film fab. prod. pol. Reż. Krzysztof Kiesłowski; wyk.: Jerzy Stuhr, Zbigniew Zamachowski.
21.00 XXVI Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki — Opole '89 (premiery)
22.30 Święto „Trybuny Ludu”
22.40 Telewizyjny przegląd sportowy
22.50 XXVI Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki — Opole '89 (premiery i premiery).

Program II

11.00 Trzy godziny z telewizją Katowice
14.00 W świetle ciszy — program dla niesłyszących
14.25 Telewizyjny koncert zyczeń.
14.55 Powitanie
15.00 „Tajniki przyrody” (9) — „Zagłada jest nieodwracalna” — serial dok. prod. ang.
15.25 Spektrum
15.40 „Zwierzęta świata” — „Woda albo śmierć” — film przyr. prod. USA
16.05 Meandry architektury: Projektowanie zieleni
16.25 „Ordy” — „Wulkany” — film animowany prod. japońskiej
16.50 „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy” (8) — „Dzięki ci, żelazny kanclerzu” — serial TVP
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Benefis Romana Kłosowskiego
19.30 Alfa i omega: Z herbu rodem
20.00 „Tancerz” — film baletowy prod. ang.
20.50 Jacek Mierzejewski z Muzeum Narodowym
21.30 Panorama dnia
21.45 „Chateauballón” (7) — serial obycz. prod. franc.
22.40 Komentarz dnia

Niedziela — 25 czerwca

Program I

9.00 Dla młodych widzów: Teleranek oraz film prod. NRD z serii „Dziewczyna pirat” (1)
10.30 Dt — wiadomości
10.35 „Życie na planecie Ziemia” (3) — „Śmierć drzewa” — serial przyr. prod. franc.
11.25 Kraj za miastem
11.55 Telewizyjny koncert zyczeń
12.40 Agromarket
13.25 Teatr dla dzieci: Otfried Preussler „Malutka czarownica”. Reż. Irena Dragan; wyk.: aktorzy teatru „Kubuś”
14.10 Morze — magazyn
14.30 Święto „Trybuny Ludu”
14.50 Trzy rundy
15.35 „Katarzyna” (13) — serial prod. franc.
17.15 Teleexpress
17.30 Gdzie są taśmy z tamtych lat — program Grzegorza Lasoty
18.10 Antena
18.10 „Panna dziedziczka” (7) — serial prod. brazył.
19.00 Wieczorynka: Tajemnica Wiklinowej Zatoki
19.30 Dt
20.00 „Ucieczka z miejsc ukochanych” (6) — serial TVP
21.00 XXVI Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki — Opole '89 („Mikrofon i ekran” cz. I)
22.30 Dt — wiadomości
22.35 7 dni — świat
22.50 XXVI Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki — Opole '89 („Mikrofon i ekran” cz. II)

Program II

9.15 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)
9.50 Film dla niesłyszących: „Ucieczka z miejsc ukochanych” (6) — serial TVP
10.50 Krótkofalowcy — wojskowy program publicystyczny
11.20 Lokalny koncert zyczeń
11.45 Jutro poniedziałek
12.15 Powitanie
12.20 Polska Kronika Filmowa
12.30 Kino rodzinne: „Powrót na Wyspę Skarbów” (10) — „Wyspa Skarbów” — ostatni odc. serialu przyr. prod. ang.
13.20 100 pytań do...
14.00 Polacy
14.50 Podróże w czasie i przestrzeni: „Który jesteś rocznik?” „My, dumni Węgrzy” — węgierskie filmy dok.
15.40 Muzyka francuska w warszawskich Łazienkach
16.40 Być tutaj — gawęda prof. Wiktora Zina
17.00 Studio Sport: Wyciągi konne na Służewcu (nagrody Prezesa Rady Ministrów i Stadjiny Koni Rzeczna)
17.30 Bliżej świata — przegląd telewizji satelitarnych
19.00 Wywiady Ireny Dziedzic
19.30 Galeria „Dwójki” — Stasys Eidigrevicius
20.00 Studio Sport — magazyn piłkarski
21.00 Nowa — spotkanie z Grzegorzem Bogutą
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wichry wojny” (15) — serial prod. USA
22.35 Święto „Trybuny Ludu”
22.50 Komentarz dnia
22.55 Dobranoc tylko dla dorosłych

Poniedziałek — 26 czerwca

Program I

17.10 Program dnia
17.15 Teleexpress
17.30 Luz — program nastolatków
18.00 Echa stadionów
18.30 Laboratorium: Droga do stołu
18.50 Święto „Trybuny Ludu”
19.00 Dobranoc: Pietruszka opowiada bajki
19.10 Gorące linie
19.30 Dt
20.05 Teatr Telewizji: August Strindberg „Taniec śmierci”. Reż. Wojciech Szulczyński; wyk.: Anna Polony, Edward Lubaszewski, Jerzy Gratek, Elżbieta Karkoszka, Beata Paluch, Piotr Trela.
22.05 Kroniki PAT: Tak było...
22.20 Sprawa dla reportera
23.00 Dt — echa dnia

Program II

17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 Czarno na białym — przegląd polskich kronik filmowych
19.00 Ojczyzna — polszczyzna: Nazwy miejscowe Lubelszczyzny
19.15 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień
19.30 Mazurki i polonezy gra Adam Harasiewicz
20.00 Teletrans
20.30 Uwaga, dokument
21.15 Rozmowy o cierpieniu
21.30 Panorama dnia
21.45 Po festiwalu w Opolu
22.05 Biografie: „Bacall o Bogarcie” — film dok. prod. USA
23.30 Komentarz dnia

Wtorek — 27 czerwca

Program I

8.50 Domator: Ostrzegamy
9.00 Teleferie: Wakacje z Neptunem
9.35 Kino Teleferii: „Dziewczyna pirat” (2) — serial prod. NRD
10.00 Dt — wiadomości
10.10 Dt — dodatek gospodarczy
10.25 „Synowie i córki Jakuba Szklarza” (13) — serial obycz. prod. CSRS
17.10 Program dnia
17.15 Teleexpress
17.30 „Kontrakt stulecia” (2) — serial prod. ZSRR
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Przygody Bączka i Pączka
19.10 Od A do Z
19.30 Dt
20.05 „Synowie i córki Jakuba Szklarza” (13) — ostatni odc. serialu prod. CSRS
21.15 Kroniki PAT: Tak było...
21.30 Konferencja prasowa rzeczniczek rządu
21.45 Studio Solidarność
22.30 Dt — echa dnia

Program II

17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.40 „Szokujące nowości”. „U progu sztuki współczesnej” — ostatni odc. ang. serialu dok.
19.00 „Wojna domowa” (7) — „Polski Joga” — serial TVP
19.30 Blisko nieba — magazyn alpinistyczny
20.00 Za chwilę dalszy ciąg programu
21.00 Klub ludzi z przeszłością
21.30 Panorama dnia
21.45 „Hrabina Cosel” (4) — ostatni odc. serialu prod. NRD
22.35 Komentarz dnia

Środa — 28 czerwca

Program I

8.50 Domator: Ostrzegamy; Zatrucia
9.00 Teleferie najmłodszych: Zgadywanie na ekranie
9.30 Kino Teleferii: „Piaszkowy stwerek” — „Piękny jak z bajki” — film prod. CSRS
10.00 Dt — wiadomości
10.10 „Spotkamy się w metrze” (2) — film prod. ZSRR
16.25 Program dnia
16.30 Losowanie Expres i Super Lotka
19.40 Telewizyjny informator wydawniczy
17.00 Studio Sport: mecz piłki nożnej: ZSRR — reszta świata
ok. 17.45 Teleexpress (w przerwie)
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Przeszłość
19.10 Program publicystyczny
19.30 Dt
20.05 „Sekcja specjalna” — film prod. franc.
21.55 Kroniki PAT: Tak było...
22.10 Spojrzenia
22.40 Dt — echa dnia

Program II

17.25 Program dnia
17.30 W wędkarskim klubie
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Magazyn „102”
19.00 Świat festynów
19.30 Program publicystyki kulturalnej
20.00 XXVIII Festiwal Młodzieżowski w Kudowie-Zdroju
21.00 Ze wszystkich stron — magazyn reporterów
21.30 Panorama dnia
21.55 „W labiryncie” (26) — serial TVP
22.20 997 — kronika kryminalna
23.20 Komentarz dnia

ZESPÓŁ: Ewa Czerwińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzieciołek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawluczuk (kierownik działu reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stepień (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wlazłowska. Korekta: Barbara Caban. Sekretariat: Anna Wójtowicz.

ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-34 (sekretarz redakcji), 202-91 (dział publicystyki), 208-59 (dział reportażu), 233-88 (dział kultury i informacji). Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.

WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”, ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.

DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.

Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach. Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udziela oddział Przedsiębiorstwa Ufowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch” i urzędy pocztowe.

PRZED dwoma tygodniami pozwoliłem sobie na impresję o tym, jak kandydowałem na kandydata do Sejmu, niechże więc dokończę tę golgotę kandydacką uwagami o tym, jak „przegrałem” Sejm.

Rzecz jasna, ja niczego nie przegrałem, ponieważ nie miałem najmniejszej szansy na wygraną. Mając od początku do końca pełną tego świadomość, grałem z pewnym komfortem psychicznym, z dystansem do całej tej zabawy, na luzie, podczas gdy wszyscy inni kandydaci potraktowali ją śmiertelnie poważnie.

Znajomi w miarę upływu czasu pytali z niepokojem: gdzie twoja kampania wyborcza? Plakaty, telewizja, radio? Co jest grane?

„Sztandar Ludu” zaproponował mi dyżur przy telefonie kandydackim. Rozpocząłem ten serial wespół z prof. Szymańskim, z fotką i mini-programem na pierwszej stronie. To wszystko z reklamy. Jeszcze była rozmówka w radio lubelskim, ale kto słucha radia? W „Kurierze Lubelskim” pracowałem lat dziesięć, ale to nie wystarczyło, aby zasłużyć na krótką rozmówkę... Był jeszcze ten trochę ekshibicjonistyczny mój monolog w „Relacjach”, pt. „Jak kandydowałem na kandydata do Sejmu”.

Pozostał plakat. Odbiłem 500 egzemplarzy kosztem 37 tys. zł. Zapłacił Lubelski Oddział ZLP. Pomyślałem sobie, że jeśli sponsorów moich rywali stać na miliony, to i ZLP wysupla te 37 tys. Moje plakaty zabrały 6,5 kg papieru. Jestem pewny, że kampania wyborcza w skali województwa lubelskiego kosztowała w papierze (wojna plakatowa, urzędowe obwieszczenia, listy wyborcze) całe roczne zaopatrzenie Wydawnictwa Lubelskiego. Tego, które moją powieść „Za cieniem cień” wkrótce wyda w obelżywym nakładzie 9700 egzemplarzy.

Jeden plakat kosztował 54 zł, ale jego powieszenie przez najemników spółdzielni studenckiej — aż 97 zł. Tym zdiurysm powierzyłem tylko 100 sztuk. Połowa zawisała rękami własnymi, głównie moich synów. Wpadłem na zły pomysł, aby skorzystał z kiosków „Ruchu”. Dałem 150 sztuk. Po dwóch dniach telefon z Bełżyc: „Twoje plakaty robią konkurencję Zygmuntowi Łupinie z okręgu wyborczego Kraśnik!”.

Powołując się na zarządzenia wewnętrzne, odmówiły mi swoich witrin biblioteki i księgarnie. Uliłował się tylko kierownik księgarni na rogu Szopena i Krakowskiego w Lublinie. Ozbiliśmy swoim plakatem jedno skrzydło drzwi wejściowych, bo drugie okupowała podobna prof. Bendera. Zdarło. Nazajutrz powiesiłem ponownie. Zdarło. Powiesiłem raz jeszcze. Nie wiem, co było dalej.

Plakat był gotowy na kilka dni przed wyborami. W tym momencie wszystkie dostępne centymetry murów w centrum Lublina już były oklejone, i to przez kilka warstw kolejno zwalczających się plakatów. Mój miał wymiar skromny: 30x40 cm. Raz po raz padałem ofiarą większych plakatów. Najbardziej bezceremonialni byli plakaciarze pana Gąsławskiego, ale pod koniec nie przebierali w środkach wszyscy pozostali, nadciągający z nowymi nakładami swych klientów.

Upatrzyłem sobie doskonale miejsce — szybę wystawową remontowanych właśnie „Delikatessów” przy ulicy Narutowicza. Już nazajutrz pokryli mnie promiennie uśmiechnięci kandydaci „Solidarności” z Lechem Wałęsą. Trudno, jak spadać, to z wysokiego konia. Powiesiłem się w gmachu instytucji rolnych przy ulicy Karłowicza, bo przecież jestem także rolnikiem. Zdarło. Ozbiliśmy swoim nazwiskiem trzy centra handlowo-usługowe w trzech ościennych gminach, bo na wszystkie stać mnie nie było. Ale i tam zagęszczenie plakatów było nie mniejsze niż w centrum Lublina...

Piszę te uwagi 7 czerwca: nie wiem jeszcze, co uzyskałem wśród rolników. Na plakacie przechwalałem się swoją profesją rolnika-literata, a ostatni z trzech punktów programowych na mojej agitce ostrzegał: „Szykuje się Sejm prawie bez rolników. Sejm się

Skala i determinacja w walce o przestrzeń życiową na murach i w mass mediach lubelskich była załamująca dla takiego giganta jak ja. Na hektarach plakatów wybuchła druga, dodatkowa wojna — na inwektywy, obelgi, docinki. Stosunkowo taktowne były dopiski pod adresem R. Bendera: „Odpocząć!”. To aluzja do dwóch już kadencji sejmowych profesora. Co za niegodziwość! Ilekroć włączałem telewizor, znajdowałem profesora Bendera w doskonałej kondycji, jakby przed chwilą wyszedł z sauny z biczami wodnymi. I ten człowiek ma odpocząć?

Na moich agitkach nie znajdowałem odręcznych dopisków, komentarzy, obelg. Klejone przez moich dworzan plastrami przyklepionym, dawały się zrywać jednym szarpnięciem. To skuteczniejsze. Na kilkunastu znalazłem eleganckie wizytówki w czerwonym kolorze z napisami: Adam Stanowski — Senat, Tadeusz Mańka — Sejm,

na ostatnie! Gdybym to zdołał orzędzieć, przeczuć — to przyznaję: nie stanąłbym do tych zawodów! Literat, dziennikarz o 20-letnim stażu, a w końcu rolnik, spodziewający się sporej liczby głosów wiejskiego elektoratu, nie popadając w megalomanię, mógł liczyć na śródkowe miejsce w tabeli. Stało się inaczej. Widzę jedynie brak przyczynę — kompletny brak kampanii propagandowej. Te wybory udowodniły, że totalne walenie ludziom po oczach i uszach w każdym zakątku miasta, nawet w windzie i pisuarze, robi swoje!

Drugim i ostatnim, absolutnym zaskoczeniem dla mnie i, jak sądzę, dla całego Lublina, w tym również dla sztabu głównego „Solidarności” lubelskiej, była szokująco wiekora porażka profesora Bendera. W skali lubelskich wyborów jest to podstawowe doświadczenie. Pomyśleć: zderzyło się tu dwóch równorzędnych tytanów:

PZPR głosowało na kandydatów „Solidarności”. Liczby przecież nie kłamią, jest to proste szkolne równanie z tak zwaną jedną niewiadomą. Kreślili innych bezpartyjnych, ale nie sztandarowego przeciwnika koalicji rządowej. A to już Hannibal ante portas.

I jeszcze jedno prywatne, psychologiczne już natury zaskoczenie. W czasie kampanii przedwyborczej, w której praktycznie prawie nie brałem udziału, z trudem powstrzymałem się przed nabawieniem się niechęci do „Solidarności”, jej kandydatów. To normalny ludzki odruch: mój rywal jest moim wrogiem, jego potknięcia moimi sukcesami, moje porażki jego zwycięstwami. Nie wiem, czy bym zdołał utrzymać się w roli zwolennika „Solidarności”, kolegi niektórych jej lubelskich animatorów, gdybym w trakcie kampanii zwierzył szansę zwycięstwa! Z chwilą, gdy wychodzi się na ring, nie można udawać, że jest się na plaży czy w solarium.

A kilka razy wyraźnie zirytował mnie stały agitator Komitetu Obywatelskiego, wygłaszający nieprzerwanie instrukcje wyborcze do przechodniów na Krakowskim Przedmieściu w Lublinie. Przystawałem i ja posłuchać. Powiadał: „Zostawiamy na liście tylko kandydata „Solidarności”, kreślimy wszystkich pozostałych tak zwanych bezpartyjnych z tej listy!”

Tak zwanych bezpartyjnych! Czyli i mnie. „Kto nie jest ze mną, jest przeciwko mnie”. Oby ta złowieszcza maksyma nie stała się sztandarowym mottem rodzącej się polskiej demokracji!

Ow młody człowiek nawoływał także do kreślenia wszystkich nazwisk na liście krajowej. Słyszałem kilkakrotnie. Rezultat? Walec zrobił swoje. Teraz jest trochę głupio i jednej, i drugiej stronie. Brakuje do kompletu aż 33 posłów.

Oczywiście, mniej głupio jest samej „Solidarności”, uciecha jest duża, lecz nie zmienia to faktu, że był to wyraźny faul. Przynajmniej w Lublinie — tysiące ludzi słyszały te nawoływania do kreślenia, a także widziały planszą przed Komitetem Obywatelskim z samymi czarnymi krechami na wzorcu krajowej listy wyborczej.

Będzie w tym polskim Zgromadzeniu Narodowym — Senacie i Sejmie — duże zagęszczenie profesorów, moralistów, weteranów walk o nową demokrację. Niebezpiecznie mało widzę tam zimnych menadżerów z kalkulatorami w butonierkach. Są aktorzy, ale czy któryś z nich rozegra tam swoją najlepszą w życiu rolę, jak Reagan? Rolnictwo w zenującej mniejszości — kilkunastu rolników na 40 proc. ludności kraju, trochę dygnitarzy rolnych, paru inżynierów.

Nie ma pisarzy. Może to i dobrze. Przez te 40 lat rządziłi nami — mówiąc ogólnie — sami fantaści, nadszedł czas profesorów, moralistów i aktorów. Za cztery lata przyjdą menadżerowie. Muszą przyjść.

JAK PRZEGRAŁEM SEJM

Henryk Pałak

wyżywi, ale...”. Jestem przekonany, że połowa mojego dorobku punkтового jest darem rolników. Głównie z mojej wsi i okolicy. Chwała wam za to, sąsiedzi!

W komisji wyborczej przy ul. Narutowicza zdobyłem 1 głos. Słownie: jeden. Bardzo pragnę poznać tego niezłomnego, odważnego i szlachetnego Polaka czy też Polkę!

Wierzę także, że dziesiątki tysięcy skreślających mnie osób kierowało się głęboką troską o stan literatury polskiej. O mój czas wolny do pisania. A także o kondycję mojego gospodarstwa rolnego w dobie głębokiego kryzysu żywnościowego. Co za wzruszająca dalekowzroczność i jedność! To zobowiązuje. Wszak uzyskałem najmniej głosów ze wszystkich kandydatów czterech województw regionu lubelskiego i wszystkich tam mandatów. Do mojej niezagrożonej pozycji zbliżył się niebezpiecznie jedynie pan Adam Wierzbicki, właśnie z mojego mandatu w Lublinie — zebrał 1141 głosów. Jest szansa, że będą też ostatni w skali kraju!

Skoro jestem zdecydowanie ostatni spośród wszystkich kandydatów do mandatu bezpartyjnego, mam tym samym dowód, że członkowie PZPR skreślali mnie najbardziej masowo z grona pozostałych bezpartyjnych. To także zobowiązuje...

przyklejane na środku mojego nazwiska. To już lepiej.

Czas na fundamentalne pytanie: dlaczego wziąłem udział w wyborach? Odpowiadam szczerze i pryncypialnie: postanowiłem sprawdzić się w tym plebiscycie. Przy okazji nagłośnić siebie, środowisko literackie. Głównie jednak dostrzegalem w tych zawodach niepowtarzalną przygodę życiową, piarską, dziennikarską.

Na ewentualny zarzut, że wystąpiłem w roli odbieracza głosów na kandydata „Solidarności”, pragnę przypomnieć, że odbierałem te głosy proporcjonalnie wszystkim, nie tylko jemu. Zagrożenie z mojej strony dla kandydata „Solidarności” czy dla posta Bendera od początku do końca głosowania oceniałem jako bzykanie komara nad uszami słonia. Wybory potwierdziły to w całej, może zbyt dla mnie dotkliwej rozciągłości.

Po trzecie i ostatnie — jak demokracja to demokracja. Każdemu było wolno wystartować.

Był tylko jeden moment namysłu, wahania, obaw — czy zdołam zebrać te 3000 podpisów. Nieladnie odpaść w eliminacjach. Potem był już pełny luz.

Jednego, przyznaję — nie przewidziałem — że będę ostatni. Liczyłem na miejsce w dole tabeli tych dziewięciu bezpartyjnych, ale, do licha, nie

„Solidarność” z jej T. Mańką oraz niezależny od nikogo Ryszard Bender, poseł dwóch kadencji, z bagażem powszechnej sympatii za pionierskie stawianie białych płam w Sejmie, z wyraźnym przyzwoleniem Kościoła, z tym samym gigantycznym rozmachem wojny plakatowej, wywiadami w telewizji, prasie, wiecami wyborczymi. Wszystko na nie. Zwycięża Mańka.

W moim przekonaniu jest to wynik odruchowej spontanicznej niechęci społeczeństwa do strony rządowej oraz związanej z tym całkowitej subordynacji wobec nawoływania oficjalnej „Solidarnościowej opozycji”. Elektorat wycinał w pień wszystkich, którzy nie mieli błogosławieństwa „Solidarności”. Ta prawidłowość działała jak walec drogowy. Gdyby poza mandatem „Solidarności” i jej ściągawkami zaczął ubiegać się o Sejm nagle zmartwychwstały Adam Mickiewicz, to nie mając jej błogosławieństwa, pewnie by przepadł w tak rażącym procencie, jak to się stało z Ryszardem Benderem! Podobnie w Warszawie przepadł mecnas Siła-Nowicki, rywal Kuronia.

Całe te wybory były plebiscytem nie na nazwiska i autorytety, tylko na niechęć do władzy. Tak się gra i wygrywa, jak przeciwnik na to pozwala. Trudno też oprzeć się wręcz matematycznej refleksji, że w samym tylko Lublinie kilka tysięcy członków

W numerze 24. opublikujemy:

- FIZYK W GANDAWIE ● DOM W WILNIE ● CMENTARZE WE LWOWIE ● KORESPONDENCJA Z ANGLII ● POLONIA W ŚWIECIE ● SPALIŁEM OJCA W PIECU CHLEBOWYM ● WIRÓWKA NONSENSU NA SŁAWINKU ● Z DALA OD LUDZI ● GENERAL SMORAWIŃSKI — DOKOŃCZENIE.